Nr. 40. Warszawa, dnia 5 Września (23 Października) 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

LIST CADORNY.

Rozkosze święta narodowego zatruł włochom senator Cadorna — włochom, a przedewszystkiem Crispiemu. Do niego bowiem, w samą rocznicę wyłomu w Porta Pia, wystosował list otwarty, a w nim dotknął rany włoskiej — Sycylii. Crispi jest nietylko pierwszym ministrem, ale i sycylijczykiem: los wyspy podwójnie na sercu leżeć mu powinien. A los ten jest okropnym. Ludność niezamożna jęczy ciągle w jarzmie praw i zwyczajów, i w sroższem jeszcze — chciwości ludzkiej. Zaburzenia w zimie 1893—4 r. były protestem płomienistym i krwawym przeciwko niedoli ekonomicznej, którą same instytucye prawa publicznego podsycają, a zwierzęcy egoizm ludzki zamienia na systematyczny ucisk. Na gruncie przyjaznym szerzy się przerażająco socyalizm. Jeśli nie współczucie dla biednych, jeżeli nie obowiązek państwowy i społeczny, jeżeli nie miłość porządku, to obawa przed potworem musi skłonić rząd do zaprowadzenia na wyspie istotnego, a nietylko zewnętrznego, pozornego porządku.

Oryginalną jest ta Sycylia. Żaden kraj świata nie ma tylu książąt, margrabiów, hrabiów, baronów i wogóle wielkiej szlachty rodowej. Przypada ich po 3 do 4 na milę kwadratową. Ziemia, kopalnie, folwarki, domy po miastach, należą przeważnie do tej arystokracyi, niekiedy wywodzącej się jeszcze od normanów, od saracenów, a nawet — *excusez du peu* — od greków i kartagińczyków. Czego nie posiadł książę lub hrabia, to jest własnością municypiów, jako *ager publicus*, grunt gminny, trzymany w garści przez municypałów, radców municypalnych, małych filistrowskich optymatów. Lud pracujący na roli jest w bardzo małym stosunku jej właścicielem; uprawia ją jako dzierżawca, a wskutek naturalnego prawa wzrostu renty gruntowej, płaci baronom coraz wyższe czynsze dzierżawne. Przeciwnie, radcowie miejscy i wiejscy umieją sobie wzajem wynajmować grunty gminne po cenach olimpijsko niewzruszonych, a nie dopuszczą do wynajmu nikogo, kto nie wszedł już do ich jakby familijnego grona.

Sycylia ma własny przemysł — głównie wydobywa siarkę, ale to tylko w zachodniej i południowo-zachodniej części wyspy, zatrudniając przytem kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Gdy siarka nie dopisze w handlu, ustaje i robota na wyspie. Główny zarobek daje ludowi ogrodownictwo, ale go nie da bez ziemi. Stąd takie rwanie się powszechne do posiadłości ziemskiej. Państwo ma ziemi podostatkiem, bo same tylko dobra poduchowne przynoszą mu 12 mil. lirów rocznego dochodu; ale ta ziemia idzie pomiędzy owych greków i kartagińczyków z pochodzenia, dostaje się też i ojcom gmin i municypiów, bo, nie podzielona na drobne cząsteczki, nie jest też dla ludu dostępną.

Złe jest odwiecznem. Wieki nad niem przewiewały. Zastawały je i zostawiały po sobie wszystkie rasy, narody, rządy i systemy. Kiedy Garibaldi wylądował w Marsali, dla poruszenia ludu przyrzekł mu polepszenie stosunków agrarnych, a na początku czerwca 1860 r. wydał formalny dekret, kontrasygnowany przez rewolucyjnego wówczas sekretarza stanu, Franciszka Crispiego, i zapowiedział w nim rdzenny przewrót w stosunkach.

Zapowiedź ta czeka jeszcze na spełnienie — a jeżeli kto, to ów sekretarz stanu za punkt honoru wziąć sobie powinien rzetelne czyny po słowach. Nie był on całkiem bezczynnym: owszem, umiał nietylko zdusić ruch powstańczy z r. 1893—4, pooddawać katu, powtrącać do więzień — a teraz, z okoliczności urządzonego przez siebie święta, przestępcom łaskę królewską okazać (z wyjątkiem najwinniejszych), ale i o prawodawczych środkach, o poskromieniu zbuntowanych przeciwko porządkowi i sprawiedliwości stosunków sycylijskich pomyślał. Na początku lata bieżącego roku kazał ogłosić drukiem obszerny memoryał, wraz z propozycyami zmian w prawodawstwie — i zarówno chorobę, jak lekarstwo pod rozprawy narodu całego poddał. Terapia pierwszego ministra nosi na sobie piętno jego zagorzale stronniczego umysłu. Crispi obiera drogę dalszą i kamienistszą — aby tylko przeciwnikom swoim dokuczyć; unika bliższej i gładkiej, a przynajmniej dogodniejszej, aby sobie, jako przewodnikowi i stronnictwu t. zw. liberalnemu nie zaszkodzić. Na Sycylii głosują za nim i jego przyjaciółmi miasta, owe municypały, tyjące od dzierżaw; za jego nieprzyjaciółmi — owi wielcy właściciele ziemscy. Crispi zatem proponuje rozdanie ziemi magnackiej, a o municypalnej milczy, jakby nie istniała.

Cadorna, w liście swoim piętnując gospodarkę municypałów, wskazuje odebranie im gruntów, jako o wiele łatwiejsze i szybsze od wywłaszczenia klasy potężnej. Do takiego przewrotu potrzeba ludzi i czasu, i środków umyślnych, a niepodobna go przeprowadzić bez zaczepienia o bardzo liczne stosunki i interesy, któreby musiałyby tak pożądaną reformę opóźnić. Może to być i być powinno stałym punktem programu na przyszłość, ale na chwilę obecną potrzeba szukać środków rychlejszy zapewniających skutek. Takim środkiem jest podzielenie gruntów gminnych pomiędzy lud; takim również będzie przeznaczenie owych gruntów poduchownych dla ludu. Jeżeli rząd nie odważy się na działanie energiczne, doraźne, jeżeli nie przeprowadzi bezzwłocznie przez Izbę projektu, z jakim występuje Cadorna, — czekają go większe od dotychczasowych troski, walki i odwety sprawiedliwości; cze-

ka go endemicznie w Sycylii zagnieżdżona zaraza umysłów, podsycająca stale epidemię na półwyspie. Crispi dotychczas milczy. Cadorna zyskuje wyznawców swej myśli.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Manewry siedmiogrodzkie zakończyły się 27 z. m. rozmyślaniami nad tem, co oko na świeżo poddało umysłowi. Cesarz w tych rozprawach uczestniczył jako bezpośredni zwierzchni kierownik. Dopóki żył książę Albrecht, jego to było obowiązkiem; od śmierci stryja cesarz sam sprawuje najwyższe dowództwo, nie tylko prawnie, ale i faktycznie. Z tego powodu na pożegnaniu w Banffy-Hunjad, miał szef sztabu generalnego armii, generał Beck, do oficerów a właściwie do cesarza, mowę, dziękującą mu za ujęcie rzeczywistego steru w swe ręce i wyrażającą nadzieję, że w przyszłej wojnie, gdyby ją Austryi narzuciła konieczność, cesarz również osobiście poprowadzi armię do zwycięztw.

Nowy gabinet Badeniego d. 2 b. m. złożył już cesarzowi przysięgę i rozpoczął czynności; prezes poprzedni, Kilmansegge, wrócił na dawne swoje stanowisko: namiestnika w arcyksięztwie austryackiem niższem. P. Jaworski otrzymał od cesarza wysoki order i przestał być ministrem dla Galicyi; funkcye jego spełniać będzie p. Biliński, nowy minister skarbu. Sam hr. Badeni prowadzi sprawy wewnętrzne. Ministrem sprawiedliwości jest Gleispach, rolnictwa Ledebur. Z dawniejszych pozostali: Gauss przy oświacie i Welsersheimb przy obronie krajowej. Listę zupełną podamy z gazet wiedeńskich.

Zła gwiazda, która przyświecała wyborom w Wiedniu w d. 17 z. m., jaśniała w całej pełni i w d. 23 i 26-ym: Antisemici górą; mają nie tylko absolutną większość, ale przewagę $^2/_3$-ich, potrzebną do uchwał fundamentalnych. Burmistrz Lueger tak się tem zwycięztwem upoił, że palnął jakiemuś reporterowi manifest o zerwaniu ugody z Węgrami. Na Węgrzech zrobił się zaraz huk. Rada wybierze Luegera, ale cesarz prawdopodobnie go nie zatwierdzi.

D. 1 października weszły w życie nowe ustawy wyznaniowe węgierskie. Sejm, zebrawszy się d. 26 z. m., już do dnia 28-go ułatwił się z dwoma jeszcze projektami spornymi, aby niczego nie brakło do kompletu praw, mających obowiązywać w duchu nowoczesnym. Posłowie ulegli: przyjęli projekty zmienione przez magnatów. Duchowieństwo uległo także; biskupi w akcie zbiorowym podnoszą tylko obowiązek wiernych, nie stając bynajmniej okoniem przeciwko prawu świeckiemu. Stosunki się ułożą.

Franciszek Kossuth, mały syn wielkiego ojca, związawszy się z Eötvösem, podburza umysły przeciwko dualizmowi i wogóle rządom „austryackim:“ chce Węgier z własnym królem i zupełnego i oderwania się od Austryi. Równolegle z tem sowizdrzalstwem rozwija się ruch poważny w stronnictwie niepodległości Ugrona, zmierzający do złączenia się z nowopowstałem stronnictwem narodowem Aponyi'ego, które stoi na gruncie ugody z r. 1867 i dualizmu. Stronnictwo rządzące powinnoby z tego ruchu skorzystać.

Od gen. Duchesne była wiadomość o nowym postępie w kierunku Antananarywo; ale z tem wszystkiem, gdy się jest francuzem, lękać się potrzeba o ostateczne wyniki tych postępów, zwycięztw i zdobyczy. Nawet opanowanie stolicy nie usunie jeszcze obaw.

Cesarz niemiecki wyjeżdża do Alzacyi; w środku miesiąca będzie w swoim zamku Urville pod Metz. Towarzyszyć ma mu żona z dziećmi.

Senator Cadorna w rocznicę dnia 20-go Września ogłosił list, o którym w artykule wstępnym. Na Sycylii kilkanaście tysięcy ludzi bez roboty i znowu wrzenie. Amnestya przeszła jak wietrzyk niewinny, niczego nie naprawiając w umysłach.

Król belgijski nie pojechał do Berlina, a co zrobił w Paryżu—nie wiadomo.

Dziewięć okrętów angielskich wpłynęło na Jang-tsekiang. Chińczycy odrazu zmiękli: przyrzekli zadośćuczynienie za morderstwa w Ku-czengu. Okręty powinny dopilnować spełnienia obietnicy. Anglia traci coraz bardziej wpływ w Chinach. Japonia czeka na swoje jeszcze 50 milionów za wyrzeczenie się Lao-tsongu. Port Artbur ma przejść pod władzę Rosyi.

W Ekwadorze spiskowcy zamordowali prezydenta Alfaro. We 24 godziny byli już porozstrzeliwani.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WŁOSKA.

Rozwój literacki i społeczny. — Ernest Masi: *Vita italiano in un novelliere del cinquecento*. — P. D. Pasolini: *C. Sforza*, 1895.

Geniusz tworzy nowe formy życia i dlatego tępi stare, jest odszczepieńcem i musi stanąć do walki z tłumem, który ma do wyboru albo go sprzątnąć, albo zginąć samemu. Ta walka, w miarę jak tłum się uspołecznia, organizuje, staje się dla geniusza coraz trudniejsza. Im silniej zadzierzgnięto są węzły organizacyi społecznej — moralności, państwa, kultury — tem trudniej jest przebić się przez nie jednostce. To też geniusze, których znamy, tylko chyłkiem i kontrabandą przekraść się zdołali po przez kordon urządzeń społecznych, zwłaszcza w chwilach ich rozluźnienia. Gdy się zastanawiamy nad rozwojem literatury i sztuki, uderza nas jeden rys ogólny: wszystkie wielkie epoki ich rozkwitu były okresami krytycznymi, gdy stare formy społeczne i moralne kruszyły się, a nowe na ich miejscu jeszcze nie powstały. Krótki szkic przekona nas o tem. Wielki, złoty okres literatury greckiej był wiekiem Peryklesa, Aspazyi, a także Alcybiadesa, wiekiem „rozwiązłości“ i sceptycyzmu, gdy tłum truł filozofów, którzy wyrzekli się dawnej wiary, a nowej na jej miejsce jeszcze nie postawili.

Czyż nie jest rzeczą dziwną, iż czasy, najdogodniejsze dla rozwoju literatury rzymskiej, znajdują się nie za panowania cnoty starodawnej, lecz i owszem w epoce jej upadku i przysłowiowej dekadencyi obyczajowej? Literatura rzymska kwitła nie za czasów Rzeczpospolitej, lecz przy Owidyuszu i Petroniuszu.

Następują wieki średnie. St. Simon w swom śmiesznem oburzeniu przeciw epokom krytycznym, przejściowym, z zamiłowaniem skierowywał myśl na ten właśnie okres, gdyż tam jeden wspólny ideał obejmował wszystkie umysły, dyscyplina duchowa i moralna doszła do najpotężniej-

---

19.

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ TRZECIA.

ZWIASTUN.

Widok 28.

Na głównym rynku miasta zbito z desek rusztowanie, na którem postawiono kosz drobnych a ostrych kamieni. Gdy rano słońce już rozplotło i rozpuściło po niebie swoje promienne włosy, przyprowadzono Arjosa. Miał on na piersiach tablicę z napisem: „Arjos, syn Notosa, potwarca bogów, uwodziciel niewolników, obrońca zbrodniarzy i opiekun wrogów państwa.“ Strażnicy więzienni przywiązali mu nogi do żelaznych kółek, wkręconych w podłogę, wywinęli w tył i skrępowali ręce, a herold przemówił do zebranego ludu:

Herold.

Zbrodniarz ten, skazany na śmierć, stać będzie pod pręgierzem przez dzień cały, aż do pierwszej gwiazdy. Każdy, kto wniósł przeciw niemu skargę, ma tu dla siebie kamień, którym może w niego uderzyć.

Tłum szybko narastał wokoło pręgierza.

Głosy.

— Nie wygląda na złoczyńcę.

— Widocznie jeść mu nie dają, bo straśnie wychudł.

— Jeżeli każdy rzuci w niego kamieniem, to go zabiją.

— Hej, mości pastuch, czy to prawda, żeś chciał być wielkorządcą Protoryi?

— Daj mu pokój, ledwie żyje.

— Ba, chciał być królem!

— Dopiął celu: stoi wysoko!

— Ha, ha, ha!

— Nie urągajcie biedakowi, który jutro umrze.

— Co tobie do tego? Czy ci obiecał, że będziesz jego namiestnikiem?

— Może obiecał.

— Strzeż się rybo saka, bo teraz podobno zaczną łowić jego pomocników. Obywatele, trzeba jednak pogadać ze skazańcem. Synu boży, hetmanie włóczęgów, dobrodzieju urwipołciów, czy nie pogardziłbyś kubkiem dobrego wina? A jakie lubisz: jarzębinowe, bzowe, czeremchowe? Możebyś dla posilenia się wolał pomyjkowe? Patrzcie, jaki wybredny, nie chce nawet takich przysmaków.

— Naturalnie, bo zaraz aniołowie z nieba zlecą i podadzą mu puhary, napełnione boskim nektarem.

Arjos stał niemy, z twarzą tak spokojną i łagodną, jak gdyby tych obelg i urągań nie pojmował, jak gdyby gdzieś w dali inne istoty widział i inne głosy słyszał.

Anor.

Dotąd jeszcze komedya.

Satar.

Nie pozwolili mi go wymodelować w więzieniu. Może igrzyska tłum stąd odciągną, wtedy przyniosę gliny i ulepię go bodaj z gruba. Przyjrzyjcie się, jakie on ma pięknie zatoczone brwi.

Kobus.

Wszystko to mu jutro popsują. A sam sobie winien, byłbym go wykręcił, jak świderek. Ale on wolał wybrać sobie za obrońcę swego boga. Ach, ci marzyciele, zawsze podobni do zająców, które chciałyby wieszać się na gałęziach krótkimi ogonami, chociaż wiedzą, że nie mogą nimi spędzić sobie z grzbietu muchy. Jednodniowe cielę nie ssie własnego kopyta i nie sądzi, że ma w gębie wymię krowy. A oni się tak łudzą.

Głosy.

Miejsca, miejsca dla pana!

szego wyrazu, jaki historya nam przedstawia we władzy papieskiej. Jest to ideał epoki organicznej, gdy jednostka uginała się pod ciężarem więzów społecznych, moralnych, politycznych, mając tylko o tyle znaczenie, o ile wsunięta była w jakąś kastę, cechę, stan.

Otóż ta właśnie epoka słynna jest ze swego ubóstwa pod względem literatury i nauki, uchodzi nawet powszechnie za okres ciemnoty i barbarzyństwa.

A kiedy zaczyna się reakcya? Kiedy wiedza i sztuka zapłonęły nowym blaskiem? Za czasów Odrodzenia, w epoce, która jest synonimem rozpusty, wyuzdania, indywidualizmu, kosmopolityzmu, gdy ojczyzna włoska wraz z cnotą obywatelską i wszystkiemi podstawami ginęła *), a na ich miejsce wystąpił niczem nie związany osobnik, Cezar Borgia lub Machiawel. W pozostałej Europie też samą społeczną burzycielską robotę wzięła na siebie Reformacya, okres zamieszania, krytyczny, gdy starzy bogowie leżą w gruzach i nie wiadomo jeszcze, jaka będzie nowa wiara i budowa społeczna.

Następuje jednak z czasem znowu epoka organiczna absolutyzmu: otóż wszystko, co w niej znajdujemy wielkiego w dziedzinach literatury i sztuki, żyje odblaskami, echami Renaissance'u. Do Odrodzenia należy zarówno literatura angielska z czasów Elżbiety, jak i francuska z czasów Ludwika XIV. Sam przez się wiek XVIII pseudo-klasycyzmu, o ile nie żył wspomnieniami przeszłości i w idealnej atmosferze Odrodzenia, był bezpłodnym; zbyt potężne było ciążenie na jednostce silnie uorganizowanych więzów społecznych. Dopiero pod koniec stulecia, gdy więzy te pękać zaczynają, jednostka występuje na plan pierwszy i wślad za tem znajdujemy nową literaturę i nową sztukę: Voltaire'a, Rousseau'a, encyklopedystów, a głównie romantyków.

Wszyscy odznaczali się wygórowanym indywidualizmem, dochodzącym u romantyków do kultu „des genialen Ich," do Prometeuszowych polotów Beethovena lub Shelleya, do niemoralnie demonicznych popędów Byrona, do kosmopolitycznych teoryj Goethego. Dość powiedzieć, iż teoretykiem romantyki był autor „Lucyndy," Fryderyk Schlegel; że jego dekadencya moralno-społeczna była bardzo smakowana u wyznawców nowej estetyki.

Wszystko to tworzyło wyraz epoki przejściowej, krytycznej, gdy formy społeczne były zbyt słabe, aby mogły zatrzeć, zmiażdżyć w zarodku szereg geniuszów romantyzmu. Takich tytanów już wiek nasz więcej nie przedstawiał, bo rozpoczął się ponownie okres organiczny, zaczęto znowu odbudowywać gmach społeczny na mocnych podstawach demokratycznych. Przy takich warunkach walka geniusza z tłumem musiała wypaść na korzyść ostatniego. Wyrazem tej przewagi tłumu była literatura realistyczna, opisująca drobnych ludzi, drobne wypadki życia codziennego, w świetle ideałów gotowych, wytworzonych przez tłum. Sztuka i literatura ostatniego pięćdziesięciolecia nie ma polotów Michała Anioła, które roztwierają nowe dziedziny bytu; odzwierciedla tylko istniejące. Jest to zupełne podbicie jednostki przez tłum. Nie trudno odnaleźć cały szereg talentów wybitnych, ale geniuszów niema. Jeżeli można wskazać którego, jak Wagner, to należą raczej do epoki romantycznej, niż do naszej. Inni piszą poprawnie, ale z wyjątkiem znacznych talentów tak, iż trudno odróżnić jednego od drugiego.

Stajemy się coraz bardziej równi, ale tylko dlatego, iż tępimy wszystko, co lepsze. Znany krytyk Harrison tak przedstawia obecny stan literatury angielskiej: „Nie mamy ani jednego wielkiego pisarza. Każdy boi się dziś świeżego natchnienia, naruszenia przyjętych obyczajów, wydania się śmiesznym. Jest to fatalny rezultat jednostajności, którą rozwija w nas wychowanie. Wszyscy jesteśmy zdolni napisać list poprawnie, ale nikt nie jest dość różnym od innych, aby napisać książkę genialną. Tak nas przyzwyczajono być podobnymi do siebie, iż poloty wyobraźni indywidualnej zostały przytłumione... Wygoda, światło elektryczne, koleje, to rzeczy doskonałe, ale one czynią utwory genialne niemożliwymi. Istotą ich powinna być rozmaitość, indywidualność, tymczasem zrównanie wszystkich, sprowadzenie do wspólnego poziomu, do którego dąży demokracya współczesna, sprowadzić musi nieubłaganą monotonność i powstrzymać energie indywidualne."

To samo powiedzieć można o wszystkich wogóle literaturach europejskich. I niema żadnej nadziei, aby położenie z czasem się poprawiło. I owszem, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wstępujemy dopiero w sam środek epoki organicznej, z taką przewagą tłumu i gotowych ideałów, jakiej historya dotychczas jeszcze nie znała.

Pod naciskiem coraz więcej rozwijających się form społecznych, jednostki coraz bardziej znikają nietylko w literaturze i sztuce, ale i w innych dziedzinach życia. Wiadomo np., że podczas wszelkich zawieruch społecznych wysuwają się na plan pierwszy szeregi osobistości wybitnych, których istnienia niktby inaczej nawet nie podejrzewał: sprzedawałyby pieprz gdyby na szczytach społecznych rozsiadła się zwykła miernota. Kto wie, może dla uwolnienia się od porastających wszystko mchów, grzybów i liszajów tłumu, aby się nie zamienić na stary, zmurszały pień, napełniony mrowiskiem — jak to w Chinach widzimy — społeczeństwo będzie musiało wywoływać nawałnice sztuczne. Albo raczej nauka będzie musiała się zająć systematyczną hodowlą geniuszu i obmyśleniem organizacyi społecznej, którab y czyniła zbytecznemi takie nawałnice i epoki krytyczne.

Ten przytępiający wpływ form społecznych na jednostkę daleko jaskrawiej jeszcze występuje w kobiecie. Wszystkie świadectwa twierdzą, iż na początkach kultury, a nawet cywilizacyi historycznej, nie różniła się ona tyle od mężczyzny, co dziś, ani pod względem energii, ani oryginalności i talentu. Nie mówimy już o podaniach, dotyczących amazonek, ale wiemy o nich, jako o kapłankach, wróżkach, poetkach, często wodzach w społeczeństwie pierwotnem.

Trzeba było dopiero długoletniego doboru form społecznych, który tępił najlepsze jednostki śród kobiet, aby wydać ten stan bierności, braku oryginalności i talentów, jaki obecnie widzimy. Śród nich odbywał się nie dobór naturalny jednostek lepszych, oryginalniejszych, lecz dobór społeczny posłusznych i biernych. One są przytłoczone, uginają się pod ciężarem więzów społecznych.

Niechaj jednak te więzy trochę się rozluźnią, a wnet na widownię występuje szereg działaczek, które przy spokojnych warunkach napewno zginęłyby, jako ofiary ognisk domowych. Weźmy jedną z epok krytycznych, Odrodzenie, która tak zbawiennie wpłynęła na oryginalność męzką i zobaczmy jakiemi były kobiety ówczesne.

*) Tu należy po części tylko Dante w swej walce przeciw papiestwu, a głównie Boccacio, Petrarka, Tasso, Ariosto, humaniści, wszyscy wielcy malarze, rzeźbiarze, architekci.

Kobus.

Patrzcie, ten stary słoń tu przyjechał!

Wązkiem rozwarciem tłumu sześciu wysokich niewolników, przed którymi postępował brązowej skóry olbrzym, przyniosło do pręgierza lektykę, w której siedział Wir-Wir.

Wir-Wir.

To on?

Głosy.

Arjos.

Wir-Wir.

Podajcie mi mój kamień.

Olbrzym wziął kamień i włożył go w dłoń swego pana, który drżącą ręką zamierzył się i ze złością cisnął.

Głosy.

— Chybiłeś, obywatelu.
— Ja cię wyręczę.

Młody człowiek, który rej wodził w tłumie, pobiegł, przyniósł kamień i z wściekłością rzucił go w skazańca. Arjos zachwiał się, a na białej jego szacie z lewej strony piersi odznaczyło się czerwone piętno.

Celnie! W samo serce!

Wir-Wir.

Zuch jesteś! Ruf, daj mu dziesięć srebrników!

Niewolnicy skręcili się z lektyką do od, wrotu. Ale tłum, podniecony bądź przykładem okrucieństwa, bądź nadzieją otrzymania zapłaty, porwał się do kamieni i zaczął nimi miotać w Arjosa, który oblany krwią, upadł na rusztowanie.

W tej chwili zabrzmiała trąbka, którą tłum zrozumiał i natychmiast ku niej się odparł. Na rynek wjechał herold, który obwieścił:

Herold

Za godzinę rozpocznie się wspaniałe igrzysko. Głodny kondor, posadzony na grzbiecie bawołu, wyrywając mu dziobem i szponami mięso, stoczy z nim walkę.

Tłum, uniesiony tą zapowiedzią, popędził jak stado hyen za zwietrzonym żerem.

Wokoło pręgierza zrobiło się pusto; pozostał tylko wartownik, który od czasu do czasu zwracał na owisniętego Arjosa obojętne spojrzenie. Jakaś chuda, przygarbiona staruszka, z twarzą pomarszczoną jak suszone jabłko, przechodząc, zatrzymała się przed rusztowaniem i zaczęła coś szeptać do siebie. Tuż za nią nadbiegła kobieta wytwornie ubrana, której oczy pałały głębokim ogniem.

Staruszka.

Skamionowali robaka.

Jala.

Nie żyje?

Staruszka.

Ciało ma jak ciasteczko — może skonał.

Jala umoczyła chustkę w wodozbiorze, weszła na rusztowanie, przyłożyła ją do głowy Arjosa, a następnie zaczęła mu ocierać krew z ran. On otworzył błędne oczy, dźwignął się z jej pomocą i drżąc stanął.

Jala.

Nie umrzesz...

Wartownik.

Obywatelko, nie wolno ratować skazańca.

Jala zeskoczyła i spiesznie odeszła. Nieopodal przeciął jej drogę Astjos.

Astjos.

Za kim?

Ona odwróciła się i wskazując na Arjosa, rzekła:

Jala.

Za nim.

I pospieszyła dalej.

Astjos.

Ha, ha, ha!

Nareszcie pierwsza gwiazda zaiskrzyła się na niebie. Przybyli strażnicy, którzy odwiązawszy Arjosa i włożywszy go na wóz dwukołowy, odwieźli do więzienia.

(D. n.)

Korzystamy z książki Pier Desiderro Pasolini p. t. „Catarina Sforza“. Nie kreślimy tu bynajmniej żadnego ideału kobiety, chodzi nam tylko o wykazanie antropologicznie cennych stron: energii, stanowczości, oryginalności i wogóle cech zbliżających je do ojczyzny. Katarzyna Sforza była wnuczką Franciszka Sforzy, kondotiera, który z niczego został księciem. Wychowana zupełnie po męzku, wyszła za mąż w piętnastym roku życia za ks. Girolamo Riario; gdy ten zginął w powstaniu, Katarzyna objęła rządy, walczyła z powstańcami, zamknęła się w fortecy, intrygowała, przenikała plany swych wrogów, a gdy jej zagrożono zabiciem synów, wziętych jako zakładników, zawołała: „Zrodzę innych“!

Cezar Borgia boi się jej i wstępuje, również jak Laurencyusz Medici, Savonarola pisuje jej listy, Machiawel rozpływa się w pochwałach i pochlebstwach.

Była wysoka, ładnie zbudowana, piękna z oblicza. Prawie zawsze milcząca. Na sukni jedwabnej nosiła kapuszon francuski z czarnego aksamitu, pas mętki i na nim sakiewkę, pełną dukatów. Pierwsza w boju, pieszo czy konno, nie opuszczała nigdy swych żołnierzy, i z orężem w ręku szła przeciw wrogom, którzy drżeli z obawy przed jej dumą, odwagą i okrucieństwem.

Nie znała żadnej słabości; spokojnej myśli towarzyszyła żelazna wola, spojrzenie jasne, słowo zwięzłe i stanowcze. Życie jej było pełne oporu i walki. Można ją było zdradzić, ale nie oszukać. Nie miała nad sobą żadnego prawa. Jej mężowie byli raczej jej faworytami, niż władcami. Pierwszy, Girolamo Riario, był jej równy z ambicyi i siły, to też miała różną odeń politykę; w późniejszych mężach wybierała istoty słabe, któreby mogła prowadzić i kochać, jak Giacomo Feo i Jan Medyceusz.

Miała wszystkie cnoty męskie i zarazem kobiece. Spędzając życie na siodle z szablą u boku, była jednocześnie dobrą matka i znakomitą gospodynią, a także elegantką i kokietką.

Zdaniem Berkhardta, typ kobiety z czasów Odrodzenia był właśnie taki. I jakich rzeczy one mogły dopiąć—świadectwem Katarzyna Sforza. Pośród zawikłanej polityki XV stulecia i pałającej zewsząd chciwości, ona zdołała utrzymać swe państewka Imoli i Forli. Posługiwała się w tym celu powszechnie wówczas używanym orężem, morderstwem, zdradą i trucizną. Gdy zabito Giacoma Feo, gniew jej wybuchnął, jak burza; wieszała, torturowała, kąpała się w strugach krwi. Była jednocześnie pełna wiary i relgijności.

W Bolonii w muzeum wojennem istnieje zbroja, wykuta nader delikatnie i artystycznie. Wyryte są na niej wizerunki Zbawiciela i S-ej Katarzyny. Cała z giętkiej stali i pięknie rzeźbiona, nosi ślady ciosów, zadanych przez maczugi. Jest to zbroja Katarzyny Sforzy. W herbie tej wojowniczki znajdujemy żmiję i różę—symbol zupełnie odpowiedni jej duszy, która stanowi jednę z najbardziej oryginalnych postaci wieku Odrodzenia.

Takich kobiet czynu Odrodzenie wystawiło bardzo liczną rzeszę. A w innych dziedzinach! Wszak śród nich Leonard znajdował to natężenie życia psychicznego, które podziwiamy w jego portretach niewieścich. Zdaniem Ernesta Masi, który poświęcił im specyalne studyum, te czarodziejki umiały wszystko: rysować, grać na lutni, czytać w oryginale autorów greckich i łacińskich, a często pisywać bardzo oryginalne wiersze. Tu należą: Izabela Gonzague, Cecylia Gellerani, Hipolita Sforza. „U nich — powiada współczesny Bardello — muzykanci śpiewają, malarze rysują, filozofowie rozprawiają o rzeczach naturalnych i innych.“ Dotyczy to nietylko kobiet arystokratycznych, ale także mieszczanek zamożnych. Ich zasługa czynna polega na utworzeniu salonu, w najlepszem znaczeniu tego słowa, jako atmosfery artystycznej i duchowej, nader wyrafinowanej śród banalności życiowej. Z Włoch te ogniska przeszły do Francyi, a stąd rozpowszechniły się z czasem po całej Europie. Teraz ich nie brak, ale są to już objawy naśladownictwa, nie trudne do wykonania. Zasługa twórcza kobiet Renaissance'u polega na tem, iż dały pierwszą inicyatywę i czyny.

L. W.

JÓZEF PAWEŁ SZAFARZYK.

Upłynęło sto lat w tym roku, gdy d. 13 maja 1795 r. urodził się znakomity uczony słowiański, Józef Paweł Szafarzyk. Jubileusz ten oprócz jednego miesięcznika przeszedł w prasie naszej niepostrzeżenie. Wiemy coś o beletrystach, poetach, muzykach, ale o mężach nauki zachowujemy milczenie, nie zadając sobie trudu w czytaniu ich prac, acz w kwestyach polityki, wymagającej gruntownej znajomości historyi, dyplomacyi, prawa, etnografii wydajemy sądy stanowczo, w tym np. duchu, że Prusy, Brandenburgia i zakon krzyżacki ożywione są jedną tradycyą; gdy w istocie są to rzeczy zgoła rożne, nic niemające jedno z drugiem i trzeciem niespólnego. Natomiast pojawienie się „Sprzedanej narzeczonej“ na scenie poruszyło wszystkie pióra powołanych i niepowołanych biografów Smetany.

Przejdźmy obecnie do rzeczy.

Miasto Kobelarów (po węg. Fegepatak) w Węgrzech jest miejscem urodzenia uczonego słowaka. W Käsmarku na Spiżu i w Jenie studyował teologię. Następnie był nauczycielem domowym w Presburgu i wkrótce potem dyrektorem gimnazyum w Nowym Sadzie (Neusatz). Tutaj wydał kilka dzieł po niemiecku („Gesch. d. slav. Literatur,“ 1826; „Serbische Lösekerner,“ Peszt, 1833 itp.). Zatęskniwszy do Pragi, porzucił posadę dyrektora i osiadł tam w r. 1833.

W nauce ówczesnej panowały prądy, wywołane badaniami Dobrowskiego i Naruszewicza, którzy, opierając się na milczeniu historyków o słowianach przed przybyciem hunnów, zaprzeczali ich pierwobytności w Europie. Szafarzyk, protestant i żarliwy patryota słowacki, nie mógł hołdować tej negacyi. W pracy p. t. *Uber die Abkunft der Slaven* (Peszt, 1828), rozbierając krytycznie dzieło Wawrzyńca Surowieckiego („Śledzenie początku narodów słowiańskich“) rzucił już pierwsze myśli nowego zwrotu w slawistyce, mającego na celu rehabilitacyę słowian w obliczu Europy. Potrzeba było dowieść starożytności siedlisk, a ponicnąd autochtonizmu tego plemienia na ziemiach niegdyś słowiańskich. W zamiarze tym utrwalili go głośni w swoim czasie slawiści, Palacky i Pogodin. W pomnikowem też dziele swojem p. t. *Slovanské starožitnosti*, w dwóch tomach (przekład polski Bońkowskiego w Poznaniu, 1842) myśl, dotąd kołysaną marzeniem, przyoblekł w szatę słowa. Zbrojny rynsztunkiem erudycyi, wniwecz obraca powszechne wtedy teorye o pochodzeniu sarmackiem i scytyjskiem słowian. Ponieważ Prokop (540—562) i antów i słowian spólną obdarza nazwą *sporów* (spórous), przeto Szafarzyk, upatrzywszy w tem serbów, miano to za najdawniejsze wszystkich słowian uważa. Przez dzieło to zyskał rozgłos. Rząd pruski wezwał go do Berlina, ofiarując mu katedrę języków słowiańskich, lecz Szafarzyk podziękował, zadawalając się urzędem kustosza biblioteki uniwersyteckiej w Pradze (1841). W siedem lat później otrzymał tamże katedrę slawistyki, którą niebawem porzucił. W pracy p. t. *Slowansky Narodopis* (przekład polski Dahlmana) podaje wiadomości etnograficzne, literackie i językowe o słowianach. Dziełko na swój czas bardzo popularne. Poprzednio jeszcze do spółki z Palackim ogłosił drukiem najdawniejsze pomniki języka staroczeskiego, między innemi podejrzane wielce co do autentyczności: *Rękopis królodworski* i *Sąd Libuszy* (*Die ältesten Denkmähler d. böhm. Spr.* 1840). W r. 1853 wydał pomnik pisma głagolicznego (*Pamatky hlaholského písemnictwí*) i *Über den Ursprung und Heimath des Glagolithums* (1858). Zgodnie z Kopitarem, Papłońskim i Grigoriewem, uważa głagolicę za dawniejszą od kirylicy.

Zgryzoty zapełniły resztki życia uczonego słowaka. Zawistni oskarżali go o kradzież zbiorów bibliotecznych. Śledztwo jednak wykryło niewinność kustosza. Nędza i wypadek ten przygnębiły go niezmiernie. Pewnego razu, przechadzając się nad brzegiem Weltawy, rzucił się w jej nurty (23 maja 1860 r.), a chociaż wyratowany, żył jeszcze tylko rok: umarł 26 maja 1861 r.

Nauka straciła w nim wytrwałego w pracy szermierza, lud słowacki — szlachetnego orędownika, a wszyscy słowianie — chlubę i pociechę swoją. Wieniec cierniowy zamiast wawrzynu zdobił skronie nieszczęsnego męża, który żywot na pożytek swojego narodu poświęcił.

J. F. Gajsler.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY Z PARYŻA.

Z obozu pracy: szósty międzynarodowy kongres górników. — Syndykat urzędników handlowych i administracyjnych. — Statystyka otruć saturnicznych w Paryżu od r. 1890 do 1893. — Walki byków we Francyi południowej.

Szósty kongres międzynarodowy górników odbył się niedawno w Paryżu w kawiarni Globe na bulwarze strasburskim. (Poprzednie zwołane były w r. 1890 w Jolimont w Belgii, 1891 w Paryżu, 1892 w Londynie, 1893 w Brukseli, 1894 w Berlinie).

Obecnie pięćdziesięciu dwu delegowanych reprezentowało 960,000 górników. Trzydziestu czterech z Anglii zastępowało 590,000, ośmiu z Belgii — 80,000, pięciu z Francyi — 132,000, pięciu z Niemiec — 167,000. Z pomiędzy angielskich 24 wysłała Federacya górników Wielkiej Brytanii, dziesięciu — północny Związek narodowy i górnicy z Walii południowej.

Obliczano głosy, jak i roku zeszłego w Berlinie, według liczby górników reprezentowanych; większość zatem stanowili anglicy. Na porządku dziennym były sprawy dnia ośmiogodzinnego, uregulowania produkcyi, odszkodowań w razie wypadku, nadzoru i hygieny kopalń, nadto wniosek zwoływania kongresów międzynarodowych co dwa lata. Wniosek ten odrzucono. Kongresy będą się zbierać rokrocznie; następny w Liege lub w Londynie. Po długich rozprawach uchwalono oddać sprawę uregulowania produkcyi komitetowi międzynarodowemu, wybranemu z łona pracujących. W sprawie ośmiogodzinnego dnia posunięto się o krok naprzód: postanowiono żądać zastosowania prawa i do robotników, pracujących na powierzchni kopalni.

Co do odszkodowania, francuzi postawili następujący wniosek: Należy dążyć do uzyskania prawa, zobowiązującego zarobko-

dawców do odpowiedzialności w razie wypadku; chyba że można udowodnić, iż w danym razie zaszło samobójstwo. Wniosek ów dotyczył wogóle pracujących; anglicy ograniczali go do górników, niemcy jednak, belgijczycy i dziewięciu z Anglii poparli francuzów, których propozycyę w końcu przyjęto.

Nareszcie uchwalono zająć się w przyszłości szczególnie zdrowotnością.

Na hygienę fabryczną prawodawstwo francuskie coraz baczniejszą zaczyna zwracać uwagę. Dnia 28 czerwca r. b. pismo urzędowe ogłosiło list ministeryalny, dotyczący zastosowywania chromianu ołowiu w farbiarstwie, a nazajutrz regulamin pracy w fabrykach zieleni schweinfurckiej, zaprowadzający pewne ulepszenia. *Journal officiel* z d. 21 lipca 1895 r. zamieścił nowy regulamin o ulepszonym wyrobie fosforu. Wybitny zaś chemik, profesor uniwersytetu paryskiego, Armand Gautier, dał sprawozdanie o zatruciach saturnicznych w Paryżu w przeciągu lat 1890—93. Objawiają się one w fabrykach ołowiu, podlegają im jednak wogóle pracownicy, mający do czynienia z tym metalem. Przez pory skóry i drogami oddechowemi ołów dostaje się do wnętrza organizmu, zatruwa go i wywołuje objawy patologiczne, od gwałtownych i nagłych bólów do paraliżu części ciała, drżączki i ciężkich chorób nerwowych. W latach 1876—1888 na dwadzieścia osiem do trzydziestu tysięcy robotników paryskich, zatrudnionych w fabrykach wyrobów ołowianych, farb, w których skład ten metal wchodzi itp., zapadało rocznie 552 ludzi na rozmaite objawy zatrucia saturnicznego. Strata dni roboczych wynosiła 11,140, wypadków śmiertelnych przeciętnie było po pięć.

D. 25 listopada 1881 r. Rada hygieny i zdrowotności departamentu Sekwany wydała pewną ilość uchwał, zalecających przewietrzanie pracowni i środki zaradcze przeciw działaniu ołowiu. Jakoż w przeciągu dziesięciolecia liczba chorych spadła do 421 (1881—83), potem 239 (1884—86) i 248 (1887—89). Od r. 1890 przepisy zaczęły być, zdaniem Gautiera, zaniedbywane i ilość saturników podniosła się do 302, cyfra zaś zgonów do piętnastu.

Raport swój Gautier uzupełnił prośbą o większą karność ze strony rządu i inspektorów fabrycznych.

„Gdyby kto nas poprosił — mówi jeden z dzienników paryskich — abyśmy określili pojęcie robotnika, mularza, ślusarza lub kowala, nikomu nie sprawiłoby to trudności. Mularz buduje dom, ślusarz robi zamki. Ale niechaj nas ktokolwiek zagadnie, co rozumiemy pod nazwą urzędnika? Na dziesięć osób może dwie odpowiedzą zgodnie. Tylu bowiem rozmaitych biedaków należy do tej kategoryi. Przymierają oni z głodu w przyzwoitych surdutach. Robotnik zajada sobie swobodnie, gdy ma zarobek, nie potrzebuje myśleć o stroju, nie ma zbytnich potrzeb cywilizacyjnych. Urzędnik, najczęściej „z dobrego domu," suchym chlebem nieraz karmi swe dzieci, bo musi je i przyodziać po ludzku i gazetę zaprenumerować lub przynajmniej przeczytać, a więc odwiedzić cukiernię. Robotnik mniej wymaga od życia, cierpliwie znosi niedostatek.

Pracującemu w rzemiośle lub fabryce liczą pracę według godzin, za naddatkową płacą, mniej niż warta, ale płacą. Urzędniczy trud liczy się na miesiące, za sto franków miesięcznie najczęściej ślęczy przy stole od ósmej rano do szóstej wieczorem. Puszczają go na godzinę na obiad. Chudy i skąpy obiad, ubogi i smutny nieraz. Chłop i pracownik w bluzie patrzą nań z pewną niechęcią i zarazem z iskrą zadowolenia, gdy widzą, że w oberży je gorzej od nich. Bo jest to „pan."

Nad szeregami owych murzynów biura wionął teraz wiatrek uświadomienia. Za przykładem innych pracowników, urzędnicy francuscy, zatrudnieni w handlu lub administracyi państwowej, połączyli się w syndykat. Rokowania w tym celu między osobnemi grupami urzędniczemi rozpoczęły się w grudniu 1894 r. na kongresie w Beauvais. Nadto dzięki staraniom kilku energicznych: J. Adolphe'a z Beauvais, Leblanca z Vincennes, Christa Bertranda i innych, zwołano 14-go sierpnia kongres do Beauvais. Uchwalono tam żądać od państwa uznania ich syndykatu, zaprowadzenia, jak w innych — sądów rozjemczych, złożonych z t. zw. „prud'homes," w połowie pracujących, w połowie zarobkodawców i nadania mu możności korzystania ze wszystkich praw, jakie dotąd pracującym przyznano. Zastanawiano się także nad pytaniem ustosunkowania kapitału i płacy urzędniczej.

Niedawno część Francyi południowej była widowiskiem zaburzeń ulicznych, spowodowanych zakazem walki byków. Mieszczuchy francuscy szukają nowych podniet dla swoich zwiędłych nerwów; mimo zakazów rządu, działającego w tym razie z pobudek czysto humanitarnych, sprowadzają z Hiszpanii torerów i pikadorów, Prowancya daje ofiary. Przed dwoma laty i w Paryżu usiłowano zaaklimatyzować zabawę barbarzyńską. Pierwszego września zamknięto areny walk z bykiem w Tarasconie, w Arles, w Bajonie i w Nimes. Zwłaszcza ludność Bajony gorąco łaknie widowisk. Wynikły tam utarczki z żandarmami, rada miejska podała się do dymisyi, a z okazyi przybycia króla serbskiego zabrano się żywiej do dzieła, wybijano okna, rzucano kamienie i obalano latarnie. Tak protestuje barbarzyństwo u schyłku wieku cywilizacyi.

W. Bugiel.

Z GALICYI.

Bardzo ciekawej, energicznej i charakterystycznej agitacyi widownią w dobie obecnej stała się Galicya skutkiem tego, że niezadługo ma się rozpocząć wybór posłów do nowej kadencyi sejmowej. Rzecz sama przez się zwykła i tam, gdzie życie publiczne rozwija się prawidłowo, nieskrępowane walkami stronnictw kastowych, nie daje pola do walk i miotań się gwałtownych. Gdzie wszyscy dobrze wiedzą, czego chcą i dlaczego pragną tego a nie innego, tam nie prowadzą ludzie zbyt ostro sporów o to, kto żądania ich wypowie. U nas zupełnie inaczej. Jak dzieci kłócą się i porywają do czubów o lada drobnostkę, tak rzucają się u nas ludzie do walki stronniczej, podżegani najczęściej słowami, zachęcani gestami, a nieraz zupełnie nieświadomi przyczyn ani następstw walki. Jest to dowodem wielkiej z naszej strony niedojrzałości społecznej. To też wyzyskują u nas tę niedojrzałość i nieświadomość wszyscy, należący do stronnictwa rządowego. Rej w tym zakresie prowadzi stronnictwo Stańczyków krakowskich, a wtóruje im garstka lwowskich tromtadratów, uspokojonych bądź synekurami, bądź też stanowiskami honorowymi. W niczem się oni od Stańczyków nie różnią, tak że można ich śmiało wraz z panami krakowskimi postawić pod czarno-żółtym sztandarem.

Otóż ci panowie rozhulali się w Galicyi przed wyborami okrutnie i w celu — jak powiada ostro Bartoszewicz — wzajemnego asekurowania swoich mandatów poselskich, związali się w generalny komitet przedwyborczy. Mają oni do rozporządzenia pieniądze i władzę, gdyż na wzór rządu niemieckiego w Wiedniu, stworzyli dla swego użytku—własny. W walce przedwyborczej chodzi im o to, ażeby, jeżeli nie ci sami, to tacy sami utrzymali się przy władzy i naturalnie pracują w tym względzie, jak mogą.

Przeciwko nim stanęła do walki tylko jedna grupa, której przed kilku laty jeszcze nie było — stronnictwo ludowe, niezachwycające się wcale czarno-żółtą barwą liberyi pańskiej i żądające słusznie lepiej zorganizowanego, niż dotychczas, przedstawicielstwa w sejmie.

Nie tyle cele jego, ile drogi, któremi kroczy, przedstawiają wiele do życzenia. Brak mu dotychczas zupełnie ludzi zdolnych, rozumnych, patrzących dalej, niż sięga koniec własnego nosa. Wogóle rzecz biorąc, obóz demokratyczny znalazłby może takich ludzi, nie da się zaprzeczyć, że oni są, gdyż przy każdej zbiorowej okazyi ten lub ów odezwie się rozumnie i uczciwie, ale na nieszczęście, jakkolwiek są oni bez zaprzeczenia demokratami, nie chcą do obozu demokratycznego otwarcie przystąpić. I mają racyę. Demokracya galicyjska, jak się ona teraz przedstawia, jest czemś niesłychanie niesmacznem, niejasnem, hałaśliwem i pozbawionem wszelkiej powagi. Jest to grupa ludzi niezaprzeczenie dobrej woli, ale gdybyż dobra wola tylko wystarczyć mogła! Do ludzi, którzy mają na celu pospolite waśnie, nikt z poważnych garnąć się nie chce.

Otóż z tego powodu akcya przedwyborcza demokratów lwowskich jest odosobniona. Pod względem łowieckim jest ona wcale dobrze stworzona: przodem huka naganka chłopska, a za nią postępują myśliwi. Wszystko to byłoby bardzo dobrze, gdyby nie ta okoliczność, że w kniei kto inny dawno już zwierzynę wystrzelał!

Demokracya tutejsza wysunęła wprawdzie na czoło posła do Rady państwa, d-ra K. Lewakowskiego, ale wybór ten należy do bardzo nieszczęśliwych. Historya demokratyzmu wykazuje, że wszyscy wybitniejsi mężowie i przywódcy tej idei w życiu państwowem byli zawsze głęboko nienawidzeni przez stronnictwa porządku istniejącego; walki zasadnicze bywały straszne i zażarte. Zwalczano opozycyę, ale szanowano ludzi. U nas ani o konserwatystach, ani o demokratach powiedzieć tego nie można. Przeciwnie, zbyt często zapomina się o zasadach, a podnosi się moralną i umysłową wartość przywódców. Trzeba przyznać, że tkwi w tem wielka słuszność. Ludzie, którzy w walce publicznej biorą udział, powinni być czyści.

Tymczasem wiadomo bardzo dobrze, że stronnictwo stańczykowskie odnawia się, że tak powiem, werbunkiem ochotników, którzy chętnie garną się pod czarno-żółty sztandar za rozmaite synekury. Jak swoich Stańczycy głaszczą, tak przeciwników gotowi w łyżce wody utopić. Zwykła rzecz pomiędzy ludźmi. Jest to jednak wysoce szkodliwe pod względem moralności publicznej, której poziom w ten sposób zniża się bardzo.

A demokraci czy lepsi? Uderzmy się w piersi... Wcale nie!

Nie są oni wprawdzie przy władzy i niewiele synekur mają do rozdania. Ci zaś, którzy teraz stoją niby na czele demokracyi lwowskiej — *lwowskiej*, bo ona obornie na swego własnego kręgka — spotykają się z bardzo ostrymi zarzutami. Nie biorę oczywiście w rachubę takich naiwnych a niegodziwych zarzutów, jakimi obdarzają swoich przeciwników *Krakus et consortes*, lecz mam na myśli publiczną charakterystykę Lewakowskiego przez Abrahamowicza. Tu już nie ma mowy o demokracyi i konserwatyzmie, lecz chodzi o zwykłą... ano, niech czytelnik sam sądzi.

P. Lewakowski, jako poseł do Rady państwa, bardzo rzadko bywa na posiedzeniach; w żadnej komisyi nie pracuje i nie chce pracować, gdyż korzysta z pierwszej sposobności, ażeby się usunąć od obowiązków— jak to uczynił ostatnim razem z komisyą przemysłową. Natomiast czas swój—

bardzo drogi — używa na rozmaite podróże w celach bynajmniej niefilantropijnych. W ciągu ostatniej kadencyi można by wyliczyć kilka osobistych jego interesów, bardzo świetnie załatwionych, ale natomiast ani jednego publicznego. Żadną mową w Radzie państwa nie przyczynił się on do wyjaśnienia tej lub owej kwestyi, chociaż nikt jego wolności w tym względzie nie krępował. Nie podnoszę tutaj obrony p. L., gdyż jest bardzo bladą i lepiej dla demokracyi lwowskiej, gdyby jej nie było wcale.

Teraz łatwo dojść do wniosku. Człowiek, przeciwko któremu tak ciężkie zarzuty osobiste podnoszą głośno, nie może stać na czele stronnictwa, a jeżeli stoi, musi z konieczności, wyręczać się.. swoimi; z tego jednak wynika, że takie stronnictwo nie może mieć powagi publicznej i w walce wyborczej przegrać musi, jakkolwiek przegrana jego będzie jednym ciosem więcej dla Galicyi i wzmocni tylko stronnictwo stańczykowskie z niezaprzeczoną szkodą całego kraju. Niemoc demokracyi lwowskiej, pomimo hałaśliwości, przyczyni się do tego, że najżywotniejsze interesy Galicyi kuleć muszą, a pod dobroczynnym wpływem panów krakowskich kraj pozyska nie więcej praw i sił, lecz więcej klasztorów i lojalnych niedołęgów na wysokich stanowiskach.

Nie da się zaprzeczyć, że demokracya tutejsza, niezorganizowana, wątła, zdobywa się od czasu do czasu na akt śmiałości publicznej, który robi chwilowo wrażenie, zwraca uwagę na rzeczy społeczne, ale brak dalszej działalności każe rychło o wszystkiem zapominać, tem bardziej, że nad tem usilnie pracują Stańczycy.

Takim aktem śmiałości jest odezwa komitetu stronnictwa ludowego do wyborców, która odważnie zdziera im z oczu czarno-żółtą powłokę stańczykowskiego zadowolenia. Podaję w streszczeniu szereg bardzo ważnych zarzutów, ilustrujących obecne położenie rzeczy w Galicyi, pozostawiające wiele do życzenia.

Przed 45 laty panował w Galicyi największy ucisk wojskowo-biurokratyczny, a na każdem polu pracy panoszyła się butnie reakcya. W tym okresie wszakże mieliśmy 2,319 szkół ludowych, jedna wypadała na 1,968 mieszkańców, a jeden nauczyciel na 33 uczniów. W r. 1891, przy ludności o 2 miliony większej, było szkół tylko 3,859, licząc i takie, w których nauczycieli brakło; w 2,341 gminach nie było szkoły wcale, jedna przypadała na 1,789 mieszkańców, jeden nauczyciel na 85 uczniów. Wobec tego widzimy, że jedno z najważniejszych zadań społecznych — oświata ludu, znajduje się dotychczas w stanie godnym politowania. Dodajmy do tego przyczyny drugorzędne, które zmniejszają liczbę uczniów szkół średnich, jak podwyższenie wpisu i częste zmiany podręczników szkolnych, a przekonamy się łatwo, że na polu szkolnictwa i oświaty ludu istnieją raczej przeszkody, niż zachęty. Niezaprzeczony postęp na tem polu jest wywołany raczej siłą rzeczy, ogólnem wzmożeniem się pragnienia oświaty, niż jakąkolwiek pracą systematyczną, podjętą w tym zakresie. Nie chcę przez to powiedzieć, że nic nie zrobiono, lecz że zrobiono mało stosunkowo do możności.

Pieszczone dziecko rządu austryackiego — większa własność ziemska, stoi bezwarunkowo na skraju ruiny ekonomicznej. Odłużenie wzrasta z każdym dniem nader szybko. Przed laty 20-tu kilku, jeszcze w r. 1870, cyfra długu wynosiła 144,650,549 złr., w r. 1890 podniosła się w dwójnasób przeszło, do sumy 320,221,572 złr. Własność ziemska w gorszem jeszcze położeniu, bo o nędzy jej świadczy zmniejszająca się siła podatkowa, a wysokość długów prywatnych i lichwiarskich obliczyć się nie da. Dzieje się to skutkiem polityki, prowadzonej w Austryi z bezprzykładną bezwzględnością.

Komuż to zawdzięczyć mamy? Uderzywszy się w piersi, musimy prawdę powiedzieć: rodakowi Dunajewskiemu. O nim można rzec z czystem sumieniem, że wzbogacił skarb Austryi, a kraj własny doprowadził do nędzy. On wzmocnił tak zwaną śrubę podatkową i stworzył dla drobnej własności ziemskiej położenie bez wyjścia, które zakończyło się gorączką emigracyi do Ameryki. Nie ma w Galicyi ani jednego pracownika, płacącego podatki, któryby nie miał na ustach słów złorzeczenia i skargi na panujące położenie finansowe, ale też niema nikogo, ktoby tych skarg wysłuchał. Wyżsi urzędnicy, zadowoleni z siebie, milczą, usłużni roznosiciele cudzej chwały mają na ustach tylko pochlebstwo, a tymczasem nędza rośnie.

Jest rzeczą niezaprzeczoną, że ile razy galicyjski, względnie stańczykowski mąż stanu, stanął na czele jakiejś instytucyi, pierwszym krokiem jego reformy było zdzierstwo publiczne. Nie stworzonio nowych źródeł dochodu przez produkcyę było głównym celem takiego męża stanu, lecz zwiększenie podatku. Taką drogą postępował Dunajewski, tak idzie Biliński.

Nic przeto dziwnego, że oni najwięcej są przyczyną niezadowolenia, ostrej opozycyi, jaka się przy wyborach zaznaczyła. Nie przez prasę, ale z żywych ust ludzkich idzie jeden głos: Stańczycy kraj zrujnowali — trzeba się bronić!

Cho.

W HOLANDYI.

IV.

Amsterdam.

Wyobraźmy sobie sieć pająka, z której odcięto skrawek. To plan Amsterdamu, prosty i niezawikłany. Rękaw jeziora spełnia rolę nożyc, wzdłuż niego urywają się mury. Nici, które idą od środka jako promienie sieci, zamieniono na kanały. Te arterye wodne, wachlarzowato ułożone do siebie, są przerznięte przez inne, zataczające się niemal jak koła, każde o tem większym obwodzie, im dalej ku krawędziom. Tu i owdzie prawidłowość jest mniej wyraźną, wyjątki jednak nie psują ogólnego obrazu. W środku, gdzie się zbiegają owe promienie, są skupienia wszystkich torów tramwajowych, znajduje się zamek, poczta, słowem różne instytucye centralne. Dosyć rzucić raz jeden uważnie okiem na plan miasta i parę godzin poświęcić jego obejrzeniu, a już będziemy oryentowali się w niem doskonale.

Amsterdam rozpostarł się na setce wysp i wysepek, powiązanych pomiędzy sobą mostami bez liku. Stary gród usadowił się w środku. Wązkie uliczki pulsują gwarnem życiem. Domy staroświeckie, każdy posiada w sobie coś takiego, co go wyodrębnia od sąsiadów. Kanały łączą się i rozchodzą, wzdłuż idą bulwary, pomiędzy nimi wiją się zaułki. Rozmaitość widoków stanowi rys zasadniczy, wyodrębniający stolicę Holandyi od innych miast. Starą dzielnicę zbudowano na bagnisku: bito pale i na nich kładziono fundamenty, aż wreszcie uboga osada rybacka zamieniła się na ognisko przemysłu i handlu. Erazm Rotterdamczyk, z niepokojem spoglądający na wzrost współzawodnika, który już wtedy zaczął odbierać kundmanów jego rodzinnemu grodowi, żartował z mieszkańców Amsterdamu, że jako bociany gnieżdżą się na drzewach. I gdybyśmy spód uczynili wierzchem, to otrzymalibyśmy osobliwy las, gęsty, aniżeli którykolwiek z istniejących— sterczałyby tam maszty, ogołocone z liścia, pozbawione gałęzi. Antyków mało, jak w każdym grodzie, który, od piwnic do poddasza, jest sam antykiem. Można spędzić wiele godzin na błąkaniu się śród zaułków i zawsze znajdować coś oryginalnego, lecz oko w kalejdoskopie różnobarwnym nie dostrzega nic, co całkowicie i jedynie przykułoby uwagę przechodnia. Zaciekawiła mię tylko wieża płaczek, nie tyle swoją architekturą, ile przeznaczeniem. Amsterdam był niegdyś ogniskiem zawodu marynarskiego, dopóki, zwykłem zrządzeniem wypadków, obok niego nie wyrosło mnóstwo współzawodników: Liverpool, Hamburg odebrały mu zwolna klientelę. Otóż w owych czasach przystanie znajdowały się obok wieżyczy. Żony, stojąc na galeryi, żegnały stamtąd szlochaniem odjeżdżających mężów, z których niejednego miały pochłonąć bałwany morskie — płacz był losem bardzo wielu holenderek i powtarzał się stale na wiosnę. Życie było szkołą, która ćwiczyła holendra w zimnej krwi, spokojnej rozwadze i cierpliwej systematyczności, tj. w przymiotach, które rybak powinien był posiadać, jeśli miał zwycięzko stawiać czoło kaprysom żywiołu morskiego. Kobieta związana dozgonnie przez męża z takim trybem zarobkowania, poddawała się losom. W ciągu wieku rosła tam w jej duszy coraz większa cierpliwość, płacz był jedynym protestem przeciwko twardym wymaganiom szkoły życia.

Uliczki tętnią gwarem, w którym rozpłynęły się tradycye holenderskiej czystości i troskliwości. Nie chciałbym obmówić starego grodu, pośpieszam więc dodać, że odznacza się ochędóstwem w porównaniu z miastami innych krajów. Ale obok Hagi i Rotterdamu, że już nie biorę małych miasteczek, które wyglądają jak cacka za szkłem, stoi bardzo nizko. I znowu muszę nadmienić, że widać tam na każdym kroku rękę, usiłującą podtrzymać dobrą sławę imienia holenderskiego: klamki i zawiasy lśnią na słońcu, nawet mury domów, pomalowanych farbami olejnemi, posiadają połysk. Ale nadaremno te zachody, bo hałaśliwy potok ludzki, niszczy owoce zapobiegliwości. Ruch wielkiego miasta i stara holenderska czystość nie mogą z sobą się pogodzić — więc pierwszy zwycięża.

Ażeby odnaleźć Holandyę, trzeba iść pierwszym lepszym kanałem ku krawędziom miasta, tam gdzie leżą dzielnice nowożytne. Wzdłuż arteryi wodnych ciągną się aleje, czyściutko utrzymane, idą rzędy kamienic, nad wodami unoszą się kształtne domki. Ale zbywa tam na rozmaitości staromiejskiej. Szablon kapitalistyczny nałożył swoje piętno—jednostajności, i stary gród, mimo zaniedbania, ciasnoty i hałasu, cieplej i serdeczniej przemawia do wyobraźni, aniżeli duże kamienice, nie mogące przecież, pod elegancyą powierzchowną, ukryć koszarowej struktury.

* * *

Z Holandyi cudzoziemiec wynosi przekonanie, że jest to kraj, który sam z siebie wysnuł całą swoją kulturę. Kształty domków wiejskich, i architektura miast, i duchowa strona ludności, słowem, każdy szczególik życia przekonywa nas o tem.

Ale prąd międzynarodowej wymiany towarów i idej dosięgnął równie ojczyznę polderów. Koleje żelazne są arteryami, dworce—ogniskami cudzoziemczyzny. Nadto kraj, posiadający stosunkowo nieznaczną liczbę obywateli, tem samem nie może przodować sąsiadom ani wiedzą, ani wynalazczością, bliskie zaś powinowactwo mowy holenderskiej z niemiecką i angielską, czyniąc naukę tych języków łatwą, udaremnił zabiegi patryotów o stworzenie własnych prądów umysłowych. Nie znam poprostu takiego zakątka, gdzie możnaby tak obejść się bez znajomości miejscowego języka, jak w Holandyi. Służba kolejowa rozumie przynajmniej po niemiecku,

-choć nie trudno także o angielszczyznę i francuski. Ilekroć zdarzyło mi się zwrócić na ulicy o wskazówkę do policyanta lub zwykłego przechodnia, używałem niemczyzny — z powodzeniem.

Można się obejść na upartego nawet bez monety miejscowej. Na dworcach, przy kasie, wiszą tablice, podające, w jakiej cenie przyjmują tam złoto i srebro krajów ościennych. Restauracye, kawiarnie, poczty, większe sklepy trzymają się tych kursów. Wszędzie więc można płacić monetą zagraniczną według taksy ogłoszonej—naturalnie, wydają resztę w miejscowych guldenach i centach.

* * *

Zwiedzam Holandyę północną. Dotychczas trzymałem się traktu, uczęszczanego przez turystów: Rotterdam, Utrecht, Amsterdam leżą na jednej z arteryj międzynarodowej sieci komunikacyjnej, Haga zaś i Lejda wabią do siebie cudzoziemca swoją pięknością i oryginalnością. Ale półwysep, przylegający od zachodu do „morza Południowego" (Zuidersee), znajduje się na uboczu. Z turystów rzadko kto tam się zabłąka.

Jest to może najoryginalniejsza część Holandyi. Przestrzeń leży o parę stóp poniżej poziomu morza i dlatego trzeba było otoczyć ją szańcem grobli. Towarzyszą nam widoki łąk bez końca, szachownice kanalików i grobli, trzody pasącego się bydła. Cała okolica odznacza się ogromną obfitością i rozmaitością środków komunikacyjnych wodnych i lądowych. Na widnokręgu mnóstwo wiatraków. Okrągły, rozdęty kadłub, jaskrawej barwy, coraz węższy ku górze; dokoła galeryjka; tam, gdzie główny budynek kończy się ścięciem, wyrasta na cienkiej szyi pękata głowa, opatrzona śmigami — coś rdzennie holenderskiego. Na którejś stacyi, tuż za Amsterdamem, minęliśmy kompletny las, złożony z takich potworów, obracających ramionami. To Zaandam. Niewielkie miasteczko, otoczone rowami i polderami, składa się z małych a milutkich domków, zalotnie pomalowanych. Każdy posiada czysty ogródek z grzędami kwiatów. Na straży miasta stoi wzdłuż kanałów kilkaset wiatraków. Dalej przerzedzają się, lecz nie o tyle, ażeby nie stanowiły charakterystycznego rysu w krajobrazie.

Docieram do Alkmaaru. Uroczy park, stary ratusz, jeszcze starszy kościół, bo pono pochodzący z XIII w., przedewszystkiem zaś jedna z osobliwości niderlandzkich, znajdująca się w każdem mieście śród żuław: *Waaghuis*, dom, w którym sprawdzają wagę serów — jesteśmy w ojczyźnie tego produktu. Gmach z frontem cudackim, posiada wieżycę, która przystoi tylko ratuszom staroświeckim. Przed nim rynek, dalej kanał, z którego wód wynurza się szereg czyściutkich domków fantazyjnej struktury. Gospodarze okoliczni zwożą tutaj sery w pewnych dniach. Sprzedaż odbywa się na rynku, targ zaś kończy się w hali *Waaghuisu*. Ładne ulice, ze staroświecka cudackie domy, mnóstwo składów i śpichlerzy, stojących pustkami, trawa na ulicy, spokój cmentarny. W całości wrażenie cacka opuszczonego. To samo wrażenie wynoszę z Monnikendamu. Na ulicach pusto, tylko gromadka dzieci bawi się przed kościołem w ślepą babkę. Czerwono mury domów odbijają silnie od żółtego bruku i zielonych okienic.

Wszędzie w Holandyi północnej stąpam po dawnej wielkości, która upadła podcięta naturalną logiką rozwoju ekonomicznego. Martwe miasta. Dawniej liczyły po kilka i kilkanaście tysięcy obywateli, teraz nie posiadają piątej części ludności, która ongi zamieszkiwała w ich murach. Ubyło ludzi, ale po przeszłości pozostały kościoły i ratusze, śpichlerze, domy, bruk i mosty, przedewszystkiem zaś miejsca za wiele. Spostrzedz to można było już w Rotterdamie i Hadze, w Lejdzie i Haarlemie, ale chwila dzisiejsza, lubo nie rozszerzyła tam swojego łożyska, to przecież nie zwężiła go tak bardzo. Tymczasem tutaj, wśród polderów północy, bezustannie widzimy, że Holandya jest jako ślimak, który wciągnął swoje rożki i schował się do skorupy.

Po całodziennej wycieczce jestem znowu w Amsterdamie. Owinął się on w opary i mgły; po świeżem powietrzu jestem bardzo wrażliwy na przykrą woń z kanałów. Odraza moja dla Amsterdamu wypływa z przyczyn nie społecznej, ale przyrodzonej natury. Logika obrażonego uczucia nie chce jednak słuchać głosów rozsądku.

* * *

Minąłem Zutphen. Za pół godziny będę po drugiej stronie granicy, w Niemczech. Opuszczam Holandyę z głębokim szacunkiem dla jej obywateli. Ze Stanów Zjednoczonych wyniosłem poważanie dla przedsiębiorczości yankee'ów, ale dopiero w krainie polderów powziąłem szersze pojęcie o samym człowieku. W wyobraźni mojej, rozkołysanej widokami kultury holenderskiej, niezgrabny i nieruchliwy drągal wyrasta na olbrzymiego siłacza, który pod niepozorną powierzchownością ukrywa niespożyty zasób energii i wytrwałości, stanowczości i rozsądku — spętał niesforne rzeki, zagrodził bałwanom morskim dostęp do przynależnej im ziemi, osuszył jeziora, na palach wzniósł wielkie miasto, przetrzymał upadek ekonomiczny, wydał wysoką kulturę. Rozstaję się z krainą nizin, pełen wiary w zdolność holendrów do osiągnięcia lepszej przyszłości. Postęp nie będzie tam czynił siedmiomilowych kroków, na kartach dziejów nie pozostawi imion Wyrwidębów i Waligór, niekiedy będzie szedł tak powolnie, że aż wywoła może sarkanie na ospałość i rutynę, ale, bądź co bądź, nie ustanie. Kraj przynajmniej posiada do tego warunki w naturze swoich synów, o ile nie znajdą się w obcej sobie atmosferze, która ich oderwie od morza i polderu.

Improwyzonistyczne złudzenia, ktoś rzeknie mi na to wszystko. Może..

K. R. Żywicki.

ZYGMUNT SZCZĘSNY FELIŃSKI

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Dnia 17 września zmarł w Krakowie arcybiskup warszawski, Feliński. Urodzony r. 18[illegible] we wsi Wojutynie, pow. łuckim, gub. wołyńskiej, z ojca Gerarda i matki Ewy z Wendorfów. Pochodził z rodziny, która wsławiła się w piśmiennictwie naszem. Nauki gimnazyalne pobierał w Klewaniu, następnie r. 1844 skończył wydział matematyczny uniwersytetu w Moskwie. Wyjechawszy potem do Paryża, pozostawał tam w przyjaznych stosunkach ze Słowackim, który, jak wiadomo, zmarł na jego rękach 1849 r. W 1850 przybył do stron rodzinnych z zamiarem wstąpienia do stanu duchownego. R. 1855 przez arcybiskupa Hołowińskiego wyświęcony na księdza, a w 1859, po kilkoletniej pracy na parafii, był powołany na profesora logiki i filozofii moralnej Akademii duchownej w Petersburgu. R. 1862, na przedstawienie margrabiego Aleksandra Wielopolskiego ks. Feliński otrzymał nominacyę arcybiskupa warszawskiego. Konsekracyi dopełnił metropolita arcybiskup Żyliński w asystencyi biskupów Bereśniewicza i Platera w Petersburgu d. 8 lutego w kościele św. Katarzyny. D. 12 czerwca 1863 r. arcybiskup Feliński opuścił Warszawę. R. 1883, wyjechawszy za paszportem za granicę, osiadł w Drwiniaczce, majątku hr. Koziebrodzkiego w Galicyi. Nieboszczyk pozostawił także ślad po sobie, jako autor. R. 1856 wydał w Warszawie „Wspomnienia z życia i zgonu Ignacego Hołowińskiego." W ostatnich latach ogłosił szereg książek religijnych. Najświeższą zaś jego pracą, napisaną przed kilku miesiącami, były wspomnienia z ostatnich chwil Słowackiego.

PAMIĘTNIK.

Jarmark na chmiel.

Wszelki handel jest siatką niespodzianek i nagłych zwrotów, ale chyba żaden produkt u nas nie podlega tak kapryśnym losom, jak chmiel. Nawet po otrzymaniu doniesień o plonie nie można nigdy przewidzieć jego ceny. W roku bieżącym uprzedzano, że urodzaj ilościowo jest gorszy, a jakościowo lepszy od zeszłorocznego, że zagranica nie pokryje swych potrzeb, że więc plantatorowie mogą liczyć na zbyt bardzo korzystny. Tymczasem na jarmarku okazał się wynik całkiem przeciwny. Naprzód dowieziono chmielu o 6,030 pudów więcej, niż w roku minionym, a sprzedano znacznie taniej. Ponieważ zapowiedziano urodzaj ilościowo słaby, a dostarczono towaru dużo, należałoby logicznie wnosić, że u nas plantacye chmielu rozszerzyły się w ostatnim roku wielce i że gdyby plon był obfitszy, mielibyśmy nadmiar, który przygniótłby ceny jeszcze niżej. Ale wniosek ten, prawidłowy formalnie, może być mylnym w rzeczywistości, bo — jak zwykle u nas przy wszelkich wystawach, jarmarkach itp. — nie ujawniono wcale szczegółów produkcyi. Nie wiemy wcale, z jakich przestrzeni chmiel zebrano, czy jego plon dosięgnął przeciętnego (20—25 p. z morga), czy najobfitszy z dotychczasowych dowóz tegoroczny (przewyższający trzykroć najlepszy z poprzednich) jest rezultatem pomyślnego plonu, czy też rozszerzonych plantacyj itd. W tych pytaniach tkwi główne: czy przy obecnych cenach produkcya się opłaca? Inny bowiem rachunek, jeżeli otrzymano z morga 25 pud. po 10 rs., a inny — jeżeli otrzymano np. 5 lub 10 pud. Dopóki tych szczegółów nie będziemy znali, nie możemy zrobić żadnego wywodu ogólniejszego, lecz co najwyżej zapisać kilka cyfr małomówiących, mianowicie, że w r. 1895 dowieziono na jarmark warszawski około 10,000 p. chmielu, który sprzedano: I gat. rs. 7 do 15 (1894 od 12 do 18), II — rs. 7½ (1894 — od 6 do 11), wadliwy — rs. 6 do 7 (1894 — rs. 5). Oto wszystko.

Gdzie tylko się znajdzie kilka patyczków i trochę pierza, tam reporterya znosi natychmiast swoje jajko, które nigdy się nie wylęga, bo jest pustą błonką, nadętą powietrzem. Ponieważ nie zawsze odróżnić można takie reporterskie jajka od rzeczywistych zarodków myśli i czynu, nie wiemy przeto, czy istotnie między chmielarzami powstał projekt syndykatu, czy też go złapano z wiatru. W każdym razie przytaczamy jaskrawe i dla naszych stosunków znamienne oświetlenie tego zamiaru w bezimiennym liście do *Kuryera codz*.

Przedewszystkiem zgóry zastrzegam, że nie jestem producentem chmielu, ani przekupniem chmielu, ani firmą chmielarską, ani piwowarem... I tak osobiście to mi jest wszystko jedno... Ale właśnie może taki, co osobiście nie ma żadnego interesu, spokojniej patrzy, niż ten, co jest stroną w danym procesie.

Powiadają panowie: „my bierzemy za chmiel najlepszy 10 do 15 rs., a piwowarzy płacą zań 20, 25 i więcej rubli!... Co to jest?.. gdzież się ta różnica podziewa!?" I odpowiadają: różnicę tę pochłaniają pośrednicy, handlarze!... I wreszcie konkludują: połączmy się my z piwowarami, a będziemy brali za nasz

chmiel więcej, piwowarzy zaś będą płacili za chmiel taniej, niż teraz płacą.

Zróbmy syndykat, załóżmy towarzystwo, sprzedawajmy wprost, eksportujmy sami!...

W teoryi to istotnie prześlicznie wygląda, ale...

Ba zobaczmy zbliska, jak to jest.

Producent hoduje chmiel i w najlepszym razie ma towaru partyjkę niewielką, złożoną z różnych gatunków i... potrzebuje pieniędzy.

Browar, który przerobić ma na piwo tych partyjek mnóstwo, żąda, aby cała ilość chmielu, jakiej potrzebuje, była jednogatunkowa i... także nie ma pieniędzy.

Łączy ich kupiec. On od producenta kupuje tę partyjkę jaka ona jest i daje pieniądze, zbiera tych partyjek mnóstwo, łączy w jedno, dobiera gatunki, siarkuje, prasuje, zamyka w worki albo nawet w hermetyczne puszki, oddaje browarowi i nie bierze pieniędzy, aż po 9, 12 albo nawet 15 miesiącach.

W różnicy pomiędzy ceną wziętą od kupca przez producenta, a ceną zapłaconą temuż kupcowi przez browar, mieści się naprzód cena samego chmielu, koszt sortowania, siarkowania, opakowania, przechowania, procent od pieniędzy uwięzionych w towarze, wreszcie i naturalnie pewien zysk kupca, bo na to kura grzebie, żeby wygrzebała!

Jakimże więc sposobem ci dwaj, co potrzebują pieniędzy, mogą wyeliminować z ruchu tego trzeciego, który te pieniądze daje?... Na mój prosty rozum można to zrobić tylko za pomocą pieniędzy.

Zobowiązać się moralnie i stworzyć syndykat to pięknie, ale... wobec potrzeby gotówki... furda zobowiązanie!

Wywozić wprost.. ale wtedy trzeba także dać towar na kredyt i czekać, a tu potrzeba gotówki...

A przytem browar nie kupuje, nawet na kredyt, od razu całej ilości, jakiej potrzebuje. Bierze on naprzód towar świeży, później siarkowany w wańtuchach, w końcu kampanii siarkowany i prasowany z puszek hermetycznych. Trzeba więc dać mu go takim, jakim on go potrzebuje.

Tego nie zrobi plantator i nie zrobi tego Towarzystwo, dopóki nie będzie miało swojej siarkowni i swoich składów, swojego dyrektora handlowego i swojego poważnego kapitału.

I dopiero wtedy, gdy to wszystko będzie miało swoje własne Towarzystwo stanie się... samo handlarzem, na którego nienależący do Towarzystwa będą się patrzyli i skarżyli tak samo, jak się patrzą i skarżą na innych, obecnie działających handlarzy.

I, niech mi szanowni panowie darują, ale w mojem pojęciu ekonomicznem ta droga jest jedyna, jaka do wyjścia prowadzi.

Syndykaty francuskie nie dla nas, nieprzywykłych do kredytowania i najczęściej kredytować niemogących... Drobne spółeczki bez środków do konkurowania z handlowcami samem istnieniem swojem niczego nie zwalczą.

Jak robić... to już robić!... Pół i ćwierć środki do niczego nie prowadzą i same się zjadać i tępić będą. Przeciw sile potrzeba siły, a jak się na nią zdobyć nie możemy to... płaćmy i basta! *Tensam.*

Po przeczytaniu tego listu zdaje się, że gromadka dzieci postanowiła zabawić się w dorosłych ludzi i odbyć daleką podróż; tymczasem przyszedł nauczyciel, skarcił malców i kazał im... pouciérać sobie noski. A przecież to nie są dzieci, lecz dojrzali ludzie, którzy powinni rozumieć swoje przedsięwzięcie i zabrać się do niego poważnie!

Kanwa reporterska.

Nasza reporterya robi sobie z pewnych projektów, pogłosek, zamierzonych przedsięwzięć itp. kanwy, na których wyszywa (i pruje) coraz nowe obrazki doniesień „z wiarogodnego źródła,“ często zupełnie z sobą sprzecznych, a zawsze balamutnych. Taką kanwą były lub są: bulwary nad Wisłą, sprzedaż szpitala Dzieciątka Jezus, hale targowe, oświetlenie elektryczne miasta itd. Czego myśmy o tych sprawach nie czytali! A jeżeli pismo A. jednego dnia doniosło, że np. hale będą zbudowane, to z pewnością nazajutrz pismo B. zapewniło, że projekt upadł. Oba zaś czerpały z „wiarogodnych źródeł.“ Obecnie służy reporterom za kanwę do improwizacyi dworzec centralny. I znowu co kilka dni wyczytujemy najrozmaitsze opowieści o jego losach przeszłych i przyszłych, o kierunku linii, łączącej go z innymi, o nowych mostach itd., a z zamętu w tych objaśnieniach widać, że są one wątpliwe. Że są ludzie, którzy żyć chcą i żyją z „wierszy,“ dostarczanych dziennikom, potrzebującym zapełnić swe kolumny nowinami, z tym faktem musimy się pogodzić; ale dziwi nas niezmiernie, że obok tych liwerantów wierszowych nie wytwarza się w naszej prasie klasa ludzi, posiadających istotnie dobre informacye a czerpiących je nie ze swego wyssanego palca, lecz z pewnych źródeł. Dworzec centralny jest nietylko dla naszego miasta, ale dla całego kraju sprawą pierwszorzędną; czyż więc nie warto dołożyć trudu i dotrzeć do prawdy? Już kanwy reporterskiej z tego materyału mamy dosyć, teraz już pragnęlibyśmy ścisłej wiadomości.

Źródło zapału.

Główną podstawą najpoważniejszych u nas uroczystości jubileuszowych muszą być zawsze uczty. Od ich obfitości, od ponczów rzymskich, koniaków, win wytrawnych, zależy zapał i temperatura uwielbienia lub uznania dla jubilata; żołądek jest zawsze regulatorem tych uczuć okolicznościowych. Do tego jużeśmy się przyzwyczaili i uważamy za warunek konieczny ów cement, który nadaje powierzchowną jednolitość takim obchodom. Ale nie zdarzyło nam się jeszcze spotkać z *menu*, skrupulatnie przepisanem w sprawozdaniu z „uroczystości.“ Szanowny Jubilat, Jan Pankiewicz, nie wiedział zapewne, że do jego zasług, zaszczytnej i długoletniej działalności przypięta będzie... karta obiadowa. Jest to szczegół tak znamienny, że nie można go pominąć. W tem dokładnem wyliczeniu wódek, kawiorów, pasztetów, kuropatw, indyków, polędwic, rozbefów, na czele życiorysu pedagoga, łatwo znaleść miejsce uczuć reportera: tkwi ono w żołądku. Szkoda tylko, że sprawozdawca nie postarał się trochę ochłonąć z zapału zanim zasiadł do skreślenia swych wrażeń. Gdyby jednak ponczu był mniej gorący, czytelnicy uniknęliby przeglądania karty obiadowej, wydrukowanej w *Kuryerze.* Z innych głębszych pobudek wypłynęło uznanie uczniów dla zacnego profesora, wyrażone między innemi w zobowiązaniu do złożenia sumy około 4000 rs., jako funduszu na stypendyum imienia Pankiewicza. Piękny to bodaj i najlepszy pomnik za życia! —*z.*—

„Unitas.“

Pod tą nazwą aptekarze warszawscy zawiązali spółkę dla stworzenia hurtowego składu materyałów aptecznych. Do stowarzyszenia zapisało się 73 uczestników, przedstawiających kapitał 115,000 rs. Liczba ta wszakże znacznie się powiększy, gdyż przybywają ciągle nowi kandydaci do wzięcia udziałów od 500 do 6,000 rs. Nadto w tych dniach podobno mają przyjechać do Warszawy właściciele aptek z różnych stron kraju dla wejścia również do związku. Tak więc aptekarze nasi poszli dalej niż przedsiębiorcy z innych dziedzin, a co ważniejsza, zdołali w ciągu kilku miesięcy zjednoczyć interesy tak licznej grupy i już rozpocząć działalność. Stworzyli oni wspólny skład hurtowy, z którego wszyscy mogą czerpać materyały do aptek, na warunkach, jak należy przypuszczać, o wiele dogodniejszych niż dawniej. Ci składnicy, którzy dotąd działali osobno, musieli z konieczności przystąpić do związku, gdyż po za jego łańcuchem czekała ich ruina. Ale ta potrzeba łączności, wynikająca z warunków ekonomicznych, wyjdzie im na dobre. Nie zapominajmy atoli, że w tem zjednoczeniu mamy syndykat, zupełnie uzależniający spożywców. Może on podnieść, albo zniżyć ceny środków lekarskich. W pierwszym kierunku nie pozwoli im zapędzić się zbyt daleko hamulec—taksa, w drugim—przedsiębiorcy mogliby czynić ustępstwa na rzecz ogółu z własnym pożytkiem. —*p.*—

Książki zażaleń.

Podobno przedsiębiorcy żeglugi parowej na Wiśle wprowadzają księgi zażaleń. Publiczność zatem będzie miała chociaż jedną drogę poszukiwania swych krzywd, o ile to się nie stanie prostą formalnością, powiedzmy wyraźniej—blagą dla uspokojenia rozdrażnionych podróżnych. Lepiej przecież dla przedsiębiorców zamknąć wszelkie skargi w księgach i następnie złożyć je w archiwach, niż słyszeć głośne żale i oburzenie, rozbrzmiewające bardzo często na szpaltach dzienników. W przysłowie weszła groza „wilków morskich“—kapitanów okrętowych, mających nieograniczoną władzę nad pasażorami. Siła i surowość wilków wiślanych idzie dalej. Mają oni prawo wyrzucić podróżnych nawet w nocy na pusty brzeg, z pozostawieniem do wyboru: albo brnąć pieszo przez mieliznę, albo zapłacić za przewóz łodzią. Dopędziwszy statek jakiego współzawodnika, mogą przedziurawić go uderzeniem swego i pasażerów przerażonych, wyciągających błagalnie ręce, pożegnać ukłonem drwiącym. Wolno im (zgodnie z interesami i wymaganiami przedsiębiorców) nabrać tyle pak, beczek, kurników, worków, ażeby te spadały na głowę podróżnym, przygniatały im nogi i grzbiety. Wreszcie mają oni prawo przy ładunkach towarowych, nabrać taką moc ludzi, ażeby żaden nie mógł poruszyć nogą lub ramieniem w kajutach i na pokładzie. Przy tem służba nie jest obarczona obowiązkiem zeskrobywania z podłóg kilko-calowej warstwy brudu. Zamiast utyskiwać, szamotać się lub złorzeczyć, podróżni, dla skrócenia ciężkich chwil jazdy będą mieli teraz zajęcie: zapisywanie licznych i obszernych kart księgi zażaleń. —*r.*—

Stowarzyszenie gimnastyczne.

Jeżeli nie myli mnie pamięć, pierwszy raz zaczęto wyraźniej „krzątać się“ około stworzenia tego Towarzystwa w Warszawie przed siedmiu laty. Sprowadzono wtedy ustawy innych związków tego rodzaju i po „przychylnych wzmiankach“ w prasie, projekt i zabiegi utonęły bardzo prędko w niepamięci. Obecnie, jak donoszą pisma, grono specyalistów znowu zaczyna się „krzątać“ i opracowywać, nie ustawę, lecz dopiero referat, przedstawiający potrzebę stworzenia kółka gimnastycznego. Będzie on następnie złożony komitetowi redakcyjnemu przyszło-rocznej wystawy hygienicznej na ręce d-ra Garlickiego. Trzeba więc było czekać aż na tak nadzwyczajną chwilę dla ponownego rozbudzenia projektu. Ileż czasu upłynie zanim takie Towarzystwo powstanie nareszcie! Młodzi inicyatorowie, prawdopodobnie przysypani już wtedy szronem jesiennym, nie będą mieli ani siły ani chęci do wzmacniania swych mięśni i wyrabiania giętkości członków. Pozostanie im wszakże jedna pociecha: że krzątali się długie lata około zorganizowania ćwiczeń gimnastycznych... dla swych dzieci dorastających. —*og.*—

Dla upośledzonych.

Według wykazów statystycznych, Królestwo Polskie liczy około 560 idyotów, pozostawionych niemal bez żadnej opieki. W tej liczbie są nie tylko dorośli, ale i dzieci, większość pochodzi z rodzin niezamożnych lub zupełnie ubogich. Położenie zaś owych istot upośledzonych jest tem cięższe, że nie mają one wstępu do szpitala dla obłąkanych. Z tego powodu rada miejska dobroczynności publicznej w Warszawie postanowiła wyjednać fundusz rządowy na wybudowanie w Tworkach osobnego pawilonu wyłącznie dla idyotów. Myśl ta zasługuje na gorące uznanie i poparcie, tembardziej że nieszczęśliwi nie tylko nie mają opieki, ale częstokroć są przedmiotem poniewierki i nienawiści ze strony własnych rodzin, jako zupełnie nieprodukcyjni a zwiększający wydatki domowe. Idyota na wsi służy przy tem za pośmiewisko dla dzieci, więc jest jednym z czynników, rodzących złe instynkty w malcach, zwykle pozostawianych samopas pod względem moralnym.

W DALI.

Będzin. Dnia 27 września wydział karny sądu okręgowego piotrkowskiego rozpatrywał tu sprawę o zabójstwo głównej intendentki szpitala sosnowickiego Towarzystwa kopalni węgla, Maryi Filipowiczowej, wdowy po lekarzu. O morderstwo oskarżono dwóch felczerów szpitalnych: Szczepanika i Walczaka, żonę ostatniego, Julię i maszynistę mechanika, Arnolda. Według aktu oskarżenia, felczerzy nie lubili intendentki, dokuczali jej i pragnęli pozbyć się dla zagarnięcia gospodarki we własne ręce. Dnia 21 listopada r. z. Filipowiczowa wracała wieczorem z kuchni do mieszkania wraz ze służącą. Nagle wybiegł jakiś drab i uderzeniem w głowę powalił kobietę, która wkrótce zmarła. Zdążyła tylko powiedzieć, że cios jej zadał wysoki mężczyzna w długich butach, krótkiem palcie i czapce barankowej. Śledztwo wykryło, iż ,przed samem zabójstwem Julia Walczakowa odciągnęła stróża nocnego z podwórza, pod pozorem pilnowania szafy; że latarnie nie były zapalone z woli felczera Szczepaniaka; że Arnold nosił takie ubranie, jak zbójca, według opisu śmiertelnie zranionej; wreszcie że ów mechanik chwalił się przed kimś, iż żona jego wkrótce zajmie miejsce intendentki. Oprócz prokuratora, ukarania winnych również żądał gorąco obrońca dzieci nieboszczki, nadto—zasądzenia kosztów 4,000 rs. Mocą wyroku, wszystkich oskarżonych uniewinniono dla braku pewnych dowodów i oddalono akcyę cywilną.

Ryga. Miejscowe katolickie Towarzystwo Dobroczynności na schyłku roku przeszłego liczyło 257 członków, tj. o 19 mniej niż przed rokiem, co przypisują wyjazdowi wielu rodzin. Dochody instytucyi wynosiły ogółem 11,898 rs. Wydano 13,284 rs: na stałe wsparcia miesięczne 1,311 rs., na jednorazowe 706 rs., na lekarstwa 172 rs., na ofiary świąteczne 428 rs., na utrzymanie przytułku dla dziewcząt 3,748 rs., dla chłopców 719 rs., na utrzymanie sierot 883 rs., na szkołę kościelną dla dziewcząt 702 rs., dla chłopców 970 rs., na oddział szkoły na przedmieściu mitawskiem 844 rs., na koszty administracyi 381 rs. i t. d. W przytułku było na początku r. b. 56 dziewcząt i 53 chłopców. W szkole kościelnej dla dziewcząt na początku 82 uczenice, w r. b. 98. Z nich tylko 47 zapłaciło 95 rs. W szkole kościelnej dla chłopców było w r. z. 90 uczniów, w r. b. 97; (tylko 32 zapłaciło 159 rs.) W oddziałach szkół elementarnych na przedmieściu mitawskiem w r. z. było 43 uczniów i 36 uczenic w r. b. 40 uczniów i 43 uczenice. Wogóle w r. z. Towarzystwo miało pod swoją opieką 384 dzieci. Pod koniec r. z. Towarzystwo wspierało 27 osób i 30 rodzin. W przytułku dla starców znajdują się 23 kobiety i 1 starzec. Zarząd Towarzystwa składa się z 8 dyrektorów 4 kandydatów. Przewodniczącym jest ks. prałat Franciszek Affanasowicz, wiceprzewodniczącym hr. Władysław Sołtan, sekretarzem p. Bolesław Jakubowski kasyerem p. Adam Siemaszko, buchhalterem p. Franciszek Piekarski, kontrolerem p. Juliusz Pozyna. Do projektowanej budowy własnego gmachu przytułków nie przystąpiono, ponieważ ofiarowany na ten cel przez zmarłego I. Szczyta kapitał w sumie 10,000 rs. nie wystarcza. Majątek Towarzystwa w d. 13-ym stycznia r. b. wynosił 52,800 rs.

Petersburg. W stolicy pojawili się agenci, proponujący próbki sztucznego jedwabiu wyrabianego w Anglii z materyałów rozmaitych. Towar ten jest ładny i tani ale niezbyt trwały.—Mennica Petersburska w 1894 roku wybiła złotej, srebrnej i miedzianej monety na sumę 3,888,113 r.; w 1893 r. na sumę 3,791,289 r. i w 1892 r. na 4,610,951 r. Przytem miedzianej monety w roku ubiegłym zrobiono cztery razy więcej niż w 1892 r. t. j. na sumę 485,000 r. Nadto w roku zeszłym wybito medali złotych, srebrnych i bronzowych 21,288 sztuk.

Moskwa. Termin otwarcia wystawy ostatecznie naznaczono na 9 grudnia a zamknięcia 23 tegoż miesiąca. Głównem zadaniem jej ma być o ile możności, dokładne poglądowe przedstawienie współczesnego stanu rolnictwa w całem państwie, oraz wynalezienie i wskazanie najracyonalniejszych i najpożądańszych kierunków jego rozwoju. Wystawę składać będą następujące oddziały: 1) Moskiewskiego Towarzystwa rolniczego i jego instytucyi; komitetów, oddziałów, szkoły rolniczej i t. d.; 2) miejscowych towarzystw rolniczych; 3) instytucyi ziemskich; 4) gospodarstw prywatnych i 5) różnych rozgałęzień gospodarstwa wiejskiego, jak leśnictwo, hodowla bydła, ptactwa i t. p. Na okazy złożyć się mają plany, mapy, modele, fotografie, rysunki, broszury, dzieła, sprawozdania, próbne okazy gleby, ulepszenia różnych produktów wytwórczości wiejskiej, w stanie surowym i w przeróbkach, modele i instrumenty meteorologiczne; i fizyczne (w zastosowaniu do gospodarstwa wiejskiego), maszyny i narzędzia rolnicze, okazy typowe zwierząt domowych i t. p. Piąty oddział wystawy, obejmuje okazy z zakresu: 1) leśnictwa, 2) sadownictwa i ogrodnictwa, 3) hodowli ptactwa, 4) wytworów technicznych (produkty mleczne, młynarstwo, gorzelnictwo, cukrownictwo i t. p.) 5) melioracyj, 6) budownictwa wiejskiego i tanich zabudowań niepalnych, 7) kolekcye szkodliwych owadów i narośli roślinnych, 8) okazy najważniejszych rodzajów inwentarza domowego ras miejscowych i zagranicznych, hodowanych w państwie (konie robocze, bydło rogate, owce), 9) wiejska budowa maszyn i 10) wydawnictwa rolnicze z ostatnich lat 10-ciu. Projektowane jest również urządzenie specyalnego oddziału młynarstwa ze wszystkich miejscowości, produkujących mąkę, a jednocześnie bydła hodowanego na rzeź. Miejscem wystawy będzie ujeżdżalnia miejska.

SPRAWY EKONOMICZNE

WYSTAWA
PRZEMYSŁOWO-ROLNICZA
W WILNIE.

I.

Ci wszyscy, którzy w r: 1884 byli bądź projektodawcami, bądź tylko w jakiejkolwiek mierze uczestnikami pierwszej wystawy przemysłowo-rolniczej w Wilnie, zapewne ani na chwilę nie przypuszczali, czem ona stanie się po upływie lat dziesięciu.

Ziemianie w guberniach Północno - Zachodnich już od dawna aż nadto dobrze czuli potrzebę peryodycznych wystaw rolniczych, pojmowali bowiem to dobrze, że ze zmianą warunków urządzeń społecznych, po uwłaszczeniu włościan gospodarstwa folwarczne, jeśli nie poszły, to w każdym razie powinny były pójść i nowemi i lepszemi drogami. Prawda, że tak myślących była liczba nieznaczna, a ogół zachowywał się obojętnie, lub nawet niechętnie, niemniej jednak myśli te, a wnet i projekty, były tak silne i tak wymowne, że wystawy przyszły do skutku. Ponieważ w kraju nie było komu zająć się wykonaniem planów zamierzonych, kierownictwo przyjęło na siebie wileńskie Towarzystwo wyścigów konnych.

Przypomnijmy tu sobie, że w kraju Północno-Zachodnim istnieją dziś następujące zatwierdzone Towarzystwa, zblizka lub bezpośrednio dotykające spraw rolnictwa: A więc:

1). Witebskie Towarzystwo rolnicze — w Witebsku.

2). Mińskie Towarzystwo rolnicze — w Mińsku.

3). Mohylowskie Towarzystwo rolnicze w Mohylowie (gub.)

4). Kowieńskie Towarzystwo ogrodnicze w Kownie.

5). Kowieńskie Towarzystwo nabywania i sprzedaży przedmiotów, mających związek z rolnictwem—w Kiejdanach.

6). Wileńskie Towarzystwo Wyścigów Konnych—w Wilnie.

7). Witebskie Towarzystwo rozprzestrzeniania i ulepszania hodowli koni—w Witebsku.

8). Rosieńskie Towarzystwo zachęty do hodowli koni rasy żmudzkiej — w Rosieniach.

Wszystkie te instytucye powstawały kolejno między latami 1874 — 1880.

Z tych więc ośmiu korporacyi, wileńskie Towarzystwo wyścigowe, jako najbliższe miejsca wystawy, już tem samem miało sobie wskazane obowiązki zajęcia się nią. A że i wybór Wilna był szczęśliwy i kierownictwo ze strony Towarzystwa wyścigów najwłaściwsze, świadczy o tem fakt, iż wystawy wileńskie przetrwały aż dotąd, a inne prowincyonalne, jak w Szawlach i Retowie, upadły bardzo prędko. Towarzystwo podjęło urządzenie wystaw na swój koszt i ryzyko, jednocześnie dając wystawom przemysłowo - rolniczym wybitne znamiona dość sprytnie prowadzonego interesu:

Zobaczmy, co mówią liczby. Wystawców było:

w r. 1885	1887	1888	1889	1891	1893	1895
51	130	157	257	317	396	435

Cyfry te w ostatnich trzech latach, jakkolwiek czerpane z jedynych dobrych źródeł, są jednak bardzo niepewne. Dla przykładu weźmy cyfrę 435, wyrażającą liczba wystawców w r. b. Katalog wystawy (w odziale VII drobnego przemysłu i rękodzieł) wskazuje 250 uczestników, a śród nich około 150 włościan, którzy nadesłali swoje wyroby, połączeni w całe grupy. Wiadomo, nam dobrze, że jedna tylko, której zebraniem zajęła się administracya dóbr Rakiszki (hr. Przeździeckich), obejmuje aż 164 uczestników, a gdzie są jeszcze liczne grupy z Płungian, Retowa (obie staraniem B. i M. ks. Ogińskich) i inni pojedyńczy wystawcy?

Liczby jednak przytoczone, choć tak wadliwe (bo i w innych oddziałach dostrzegliśmy liczne pomyłki) są dla nas wystarczająco, aby przekonać, że zastęp zainteresowanych w wystawach stale się zwiększa, lecz to zwiększenie najwidoczniej występuje w dziale VII przemysłu drobnego.

Tu wystawców było:

w r. 1885	1887	1888	1889	1891	1893	1895
—	83	55	107	140	243	263 (?)

W r. 1885 tego oddziału nie było zupełnie.

Powyższe cyfry przekonywają: 1) że wystawy czysto rolnicze szłyby nader słabo, gdyby nie szczęśliwy pomysł dołączenia działu VII, a więc powołania wytwórców z Wilna, jak niemniej i włościan z ich wyrobami i 2) że liczba rolników, jakkolwiek powoli, lecz stale wzrasta.

Inne cyfry przekonają nas również, że jeszcze świetniej rzecz się ma w obliczeniu zwiedzających owe popisy. Liczba wystawców z r. 1885 zwiększyła się w roku bieżącym przeszło osiem razy i publiczność wyraziła swoje zajęcie się w cyfrach bardzo poważnych, a stale wzrastających. Z biletów wejścia otrzymano dochodu:

w r. 1885	1887	1888	1889	1891	1893
2,064	2,238	5,012	4,130	6,080	6,515

w r. 1895 przeszło 7 tys.

A przecież to tak znaczne zwiększenie liczby zwiedzających nie da się wytłomaczyć wzrostem ludności lub większym zjazdem—jest ono przeważnie tylko skutkiem większego zainteresowania się lub choćby nawet ciekawości.

Rezultaty pieniężne tak się przedstawiają: Różnica przychodu i rozchodu:

1886	1887	1898	1889	1891	1893	1895
—211	+814	+2842	+1344	+3172	+3707	+3500(?)

WARUNKI KOMUNIKACYI DZISIEJSZEJ.

II.

Energiczną działalność rozwinęły w ostatnich latach władze ministeryalne około rozszerzenia sieci kolei żelaznych, a w chwili obecnej znaczną część tych zabiegów poświęciły dla ułatwienia budowy dróg pomocniczych. Powszechnie bowiem w państwie przyjęty typ kolei jest bardzo kosztowny: jedna wiorsta pochłania przeciętnie 45,000 rs., skutkiem czego na pokrycie procentów i umorzenie włożonego kapitału potrzeba około 2,250 rs. w stosunku do każdej wiorsty, nadto wydatki eksploatacyjne są bardzo wielkie. Wogóle więc droga tego rodzaju może istnieć bez niedoboru tylko w takim razie, jeżeli dochód ryczałtowy dosięga 6,000 rs. z jednej wiorsty. Bardzo mało atoli jest o tyle bogatych i ożywionych miejscowości w państwie, iżby mogły dać tak wysoki dochód. W większości wypadków każda kolej, szczególnie w pierwszych latach istnienia, nawet przez całe dziesięciolecie, wymaga dopłaty skarbowej. Wobec tego budowa dróg magistralnych zawsze musi być prowadzona oględnie, pomimo że olbrzymie obszary państwa wymagają udogodnień komunikacyjnych. Taki stan rzeczy wytworzył właśnie potrzebę kolei drugorzędnych, które w ogólnej sieci będą miały również doniosłe znaczenie, a nie pochłoną sum wielkich. Doświadczenie na zachodzie Europy dowiodło, że drogi tego rodzaju najzupełniej odpowiadają potrzebom ruchu pasażerskiego i towarowego. W Rosyi koszt budowy tych linij, według obliczeń specyalistów, nie powinien wynosić więcej, niż 15,000 rs. w stosunku do jednej wiorsty. Typ takich kolei, nadzwyczaj dogodnych w znaczeniu ekonomicznem, dziś już powszechnie przyjęto w Europie z powodzeniem, pomimo że tam przecież istnieje bardzo gęsta sieć linij magistralnych, a nadto wyborne drogi gruntowe, przeważnie szosy. Oto, jaki dziś zachodzi stosunek dróg magistralnych do drugorzędnych w czterech państwach europejskich: Belgia ma kolei zwyczajnych 4,523 kilometrów, drugorzędnych 1,302, Niemcy pierwszych 31,522, drugich 6,932, Francya pierwszych 47,494, drugich 4,232.

W Rosyi budowa kolei wązkotorowych nie przybrała tak wielkich rozmiarów i dotąd nie nosi charakteru stałej, ciągłej organizacyi. Działalność w tej mierze, głównie wychodząca ze źródła prywatnego, jest dorywczą, ale bądź co bądź, widzimy gotowość sfer ministeryalnych do współdziałania, które niewątpliwie z czasem przejdzie w dźwignię tak ważną i potężną, jak przy powstawaniu linij magistralnych. Trzeba bowiem wziąć pod uwagę, że jakkolwiek istnieje już stowarzyszenie dla budowy i eksploatacyi kolei pomocniczych, jest ono jeszcze zbyt ubogie, ażeby mogło ogarnąć całe państwo, a najbardziej ożywiona tak zwana inicyatywa prywatna musi się skruszyć lub stępić o niezbyt korzystne warunki użytkowania takich arteryj drobnych na niewielkich przestrzeniach i—o konieczność niskich taryf, jako głównego środka współzawodnictwa z drogami gruntowemi, najniebezpieczniejszemi dla kolei na odległościach krótkich. Tylko w warunkach wyjątkowych na obszarach nadzwyczajnie ożywionych ekonomicznie, linie takie mogą cieszyć się wielkiem powodzeniem, ale nietrwałem, gdyż w wypadkach tego rodzaju pierwej czy później drobną żyłkę wązkotorową pochłonąć musi sieć kolei normalnych, dla przelewania przez nią środków życia wytwórczo-wymiennego. Oto dlaczego dotąd zbyt mało kapitalistów bierze się do budowy kolei pomocniczych jedynie w celach eksploatacyi. Przemysłowcy i przedsiębiorcy, jeżeli są zainteresowani i przykładają ręki do stworzenia takich udogodnień komunikacyjnych, to najczęściej w interesie przewozu własnych wytworów. Z tego przeto powodu sieć kolei drugorzędnych w Europie zachodniej rozwinęła się pomyślnie tylko tam, gdzie rząd, prowincye i stowarzyszenia różne uczestniczą w tem przedsięwzięciu, bądź w formie dostarczenia materyału budulcowego, bądź zagwarantowania określonego dochodu.

W Rosyi, jakkolwiek pożądany jest udział miast, ziemstw, stowarzyszeń, kapitalistów prywatnych itd., nie można atoli na tych tylko siłach materyalnych opierać istnienia i rozwoju dróg wązkotorowych, bez wyjątku w całem państwie. Doświadczenie bowiem już dowiodło, że bez pomocy państwa przedsięwzięcie tego rodzaju kilkakrotnie znalazło się w ciężkich warunkach. Między innemi kolej Saratowska, gwarantowana przez ziemstwa, niemal je zrujnowała. Wązkotorówka do miasta Obojani (30 wiorst długości), wybudowana środkami ziemstwa przy zapomodze rządowej w sumie 285,900 rs., wpędziła instytucyę gospodarczą i organizatorską w długi, niemożliwe do wypłacenia.

Wszystkie te fakty i zjawiska dostatecznie oceniły władze ministeryalne i uznały za najwłaściwsze oddanie spraw budowy kolei wązkotorowych w ręce rządu, przyczem osoby i instytucye zainteresowane określają formę i stopień swego udziału w stworzeniu i eksploatacyi takich linij. Jest to krok, który stworzy nowy, pomyślny okres w rozwoju i warunkach komunikacyi kolejowej i pod względem ekonomicznym da jej silne podstawy. To też można mieć nadzieję, że projekty nowych dróg pomocniczych w Królestwie Polskiem również przyjdą do skutku. Między innemi są obecnie czynione zabiegi o stworzenie takich połączeń wielu miast powiatowych ze stacyami kolei magistralnych, jak np. Garbatki z Kozienicami, Ostrowca z Sandomierzem itd.

Pod innym względem warunki komunikacyi kolejowej również zapowiadają się pomyślnie. Mianowicie postanowiono na przyszłość przy budowie nowych kolei uwzględniać wszystkie ogniska przemysłowo-handlowe, dotąd pomijane i krzywdzone. Wynikało to z gry spekulacyjnej, którą oddawna śledziliśmy jako znamienne zjawisko, a obecnie wyświetlenie paru szczegółów przez prasę petersburską, daje nam powód do poruszenia tej sprawy. Przedewszystkiem słowa jednego z organów rzeczonych: „Przedsiębiorcy budowy kolei oddawna uprawiają spekulacyę swojego rodzaju. Starają się oni zwykle, aby zatwierdzona linia pozostawiała na uboczu mnóstwo miast i miasteczek, mających pewne znaczenie przemysłowo-handlowe. Przedstawiciele tych miast w obawie jednak, ażeby ze zmianą kierunku komunikacyjnego interesy ich nie były na szwank narażone, traktują z przedsiębiorcami o włączenie danych miejscowości do linii i ponoszą na ten cel znaczne ofiary. Przedsiębiorcy ze swej strony podają ciężkie warunki niby z tytułu wynagrodzenia za poniesione nakłady i w końcu albo otrzymują grunty bezpłatnie, albo znaczne wynagrodzenie pieniężne. Wszystkim pamiętny jest wypadek z Kazaniem, zmuszonym do zapłacenia 300,000 rs. za wywłaszczenie posiadaczów gruntu, na którym stanął dworzec kolejowy nieopodal miasta."

Tu się mieści rozwiązanie owej zagadki: dlaczego dość ważne miasta, siedliska produkcyi i handlu, pozostawione są na uboczu bez żadnej widocznej przeszkody technicznej i materyalnej? Przeciwnie—spostrzegliśmy nieraz takie punkty, których obejście jest nawet niezręczne. Pominięto je, bo nie mogły, czy nie chciały opłacić haraczu przedsiębiorcom i spekulantom, którzy odpowiednio do sumy ściągniętej wykazaliby w kosztorysach i planach te punkty, jako najkorzystniejsze pod każdym względem dla połączenia kolejowego. Między innemi upośledzono Mozyr, miasto poleskie, leżące na ważnej drodze wodnej między Pińskiem a Kijowem, Krzemieńczukiem i Ekaterynosławiem. Wprawdzie na pociechę mieszkańców stacyę ochrzczono imieniem owego miasta, ale właściwie jest to miasteczko Kalinkowicze, leżące o wiorst jedenaście od Mozyra. Kto więc nie zna miejscowości, wysiadłszy w lesie, doznaje przykrej niespodzianki, bo musi najmować brykę czy wóz żydowski, wlec się po piaskach ze dwie godziny i przeprawiać się dwa razy promem. Ale ten zawód jednostki jest niczem wobec strat ekonomicznych: Wyobraźmy sobie, jaki koszt pociąga i ile czasu wymaga przewóz na stacyę kolejową towarów, wyładowanych ze statków w Mozyrzu. Przykładów takich możnaby podać więcej. Na szczęście nie będą już one nadal się powtarzać, bo jakeśmy rzekli, ministerym zwróciło już uwagę na to zjawisko nienormalne i wielce szkodliwe dla interesów ogólnych, więc w przyszłości obowiązkiem nowych przedsiębiorstw komunikacyjnych będzie łączenie takich punktów drogą żelazną, bez względu, że się ona tym sposobem przedłuży. Przypuszczać zatem należy, że do planów i kosztorysów, składanych władzy właściwej, będzie dołączana jak najszczegółowsza i najsumienniejsza charakterystyka danej okolicy, jej ognisk przemysłowo-handlowych i warunków ekonomicznych. Opisy takie oczywiście powinny być poświadczone i poparte przez mieszkańców tych stron, przez które ma kolej przechodzić.

Zen. Piet

Tywarzystwo kredytowa m Warszawy.

W końcu września członkowie tej instytucyi zebrali się w sprawie zmian niektórych szczegółów ustawy. Kancelarya kredytowa wyjaśniła że o ile ogólne zebranie stowarzyszonych wyrazi swą zgodę, to ze strony ministra skarbu nie zajdą przeszkody do zmiany odpowiednich paragrafów ustawy w ten sposób, iżby stowarzyszeni mieli zmiejszone raty [illegible] w stosunku rocznym. Władze towarzystwa są zdania, że można zamknąć pożyczki w liczbie 5% i przystąpić do udzielania ich jedynie w listach 4½% na zasadach powyższych, t. j. ażeby interesowani opłacali na umorzenie rocznie od pożyczek na budowle murowane po 1%, na drewniane po 2%, a na procent [illegible] a więc żeby pożyczki na budowle murowane umomorzyły się wciągu lat 28 i 6-ciu miesięcy a na drewniane—w ciągu lat 18-tu. Wobec tego rachunku władza instytycyi proponuje zupełne wstrzymanie na przyszłość pożyczek w listach zastawnych pięcioprocentowych a udzielenie tylko w 4½%. Oprócz tego wniosku, wysnuto i przyjęto następujące: Ażeby zebranie ogólne zgodziło się na pożyczki także w listach zastawnych w sztukach po 3,000 rs.; aby wyraziło swą zgodę na wyjednanie pozwolenia ministra skarbu co do wyjątkowej konwersyi pożyczek, udzielonych w listach zastawnych 5%, na 4½% przed wpływem terminu pięcioletniego, tudzież co do konwersyi bez udziału właścicieli i wierzycieli nieruchomości. Wreszcie—ażeby po przyjęciu powyższych wniosków zebranie ogólne upoważniło władze Towarzystwa do opracowania odpowiednich zmian i uzupełnień w ustawie i przepisach dodatkowych o udzieleniu pożyczek na budowle drewniane, a dyrekcyę—do wyjednania zatwierdzenia tych zmian i uzupełnienia drogą prawną. Między innemi żądano ustanowienia rozmaitych i krótszych terminów do spłaty pożyczek.

— Poruszono ponownie sprawę zniżenia o 50% cła od maszyn i narzędzi rolniczych, sprowadzanych [illegible] granicy przez spółki i towarzystwa ziemiańskie.

— Według zatwierdzonych świeżo przepisów o obowiązkowem banderolowaniu, wszyscy handlujący herbatą powinni złożyć w departamencie podatków celnych deklaracyę o przepuszczalnej ilości produktu rocznie na sprzedaż i do 13 stycznia r. 1896 dołączyć

kwit z wzniesionej opłaty na utrzymanie składów w stosunku rs. 100 miesięcznie w Petersburgu i Moskwie, tudzież rs. 83 kop. 34 w innych miejscowo-[illegible]

O PRAWDĘ.

Rzetelność i punktualność.

W nr. 32 *Prawdy* pomieszczony był artykuł w „Pamiętniku," oceniający pracę moją na konkursie *Gazety rzemieślniczej* na temat „Rzetelność i punktualność w rzemiośle."

Podzielając w zasadzie wskazówki autora co do stowarzyszeń, jako środka podniesienia produkcyjności, oraz pogląd, że ilość pary i maszyn bardzo może wpłynąć na punktualność, radbym (a zapewne i ogół rzemieślników) dowiedzieć się o sposobie, za którego pomocą możnaby owe wskazówki wprowadzić w wykonanie.

O ile wiem, z teoryi i życia praktycznego, to zmiany takie w sposobie produkcyi następują w miarę rozwoju warunków ekonomicznych danego kraju, przedsiębiorczości jego mieszkańców, a zwłaszcza odpowiedniego ich przygotowania umysłowego.

Niestety, dwa te ostatnie przymioty nie dają się łatwo wytworzyć; w społeczeństwie naszem są one w zarodkowym dopiero stanie.

Wszak przed kilkunastu laty istniały stowarzyszenia zjednoczonych ślusarzów, stolarzów, szewców i krawców; prócz istniejących dotąd stolarzów wszystkie one upadły ze znacznymi długami. Kilka lat temu zaledwie zawiązała się spółka pośredniczenia i sprzedaży owoców; do grona jej należeli przeważnie ludzie inteligentni, a na czele stały osobistości znane i fachowe. I cóż z tego? Po dwóch latach marnej wegetacyi spółka musiała się rozwiązać, a uczestnicy za 50 rs. włożonych otrzymali 11 rs. 50 kop. Nie prawdaż, że świetny rezultat? Szkoda że p. „z." nie był obecnym na owych zebraniach ogólnych i nie słyszał niektórych wniosków, dojrzałych i wykształconych ludzi, których pod względem praktyczności powstydziłby się z pewnością dziesięcioletni żydek.

Jeżeli więc grono ludzi wykształconych nie umiało utrzymać przedsiębiorstwa, mającego wszelkie widoki powodzenia, cóż dziwnego że ogół rzemieślników mało lub wcale nie rozwiniętych umysłowo, nie potrafi się jednoczyć celem wspólnej pracy,—a zwłaszcza wobec takich rezultatów, obawia się nowych strat i zawodów.

Prawda że warunki ekonomiczne zmuszają częstokroć jednostkę do nierzetelności; ale czyż tylko one? Wszak główni działacze Panamy i Panamino, to ludzie którym na chleb nie brakło. Ale nie szukając aż tak daleko, na każdym kroku spotykamy się z faktami, że ludzie wykształceni i zamożni popełniają najrozliczniejsze nadużycia, mniejsza że w większości wypadków mające do czynienia z kodeksem karnym — to rzeczy nie zmienia.

Słusznie więc bardzo pan „z" kończy zdaniem że po za gruntem ekonomicznym, wyrabianie rzetelności i słowności, należy do zadań pedagogicznych,—a jabym myślał nawet że ten ostatni środek daleko byłby skuteczniejszy. Ale znowu rodzi się pytanie, kto ma podjąć to zadanie dziś—kiedy ogół rodziców, albo nie zastanawia się głębiej nad celem i środkami wychowania, lub też widzi w niem jedyny środek stworzenia dla dziecka karyery i kiedy ludzie tej miary i zdolności co Dr. Jendl zrażeni trudnościami, odbierają sobie życie, „bo żyć nie warto."

Myśl ludzka kształcąc się i dojrzewając, wiele już zdziałała, jest więc pewność że i dalej tą drogą pójdzie i cel osiągnie. Mimo wszelkie trudności należy nieustannie dążyć do polepszenia istniejących stosunków i w tym celu, ludzie „dobrej woli" powinni połączyć swe usiłowania. Wskazywanie ludziom ich własnych korzyści w postępowaniu dobrem, uważam za jeden z najskuteczniejszych czynników uszlachetniających, i w tej myśli pisałem też moją pracę.

Konstanty Kłobukowski.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Warsz. Dniew. zamieścił mowę Warszawskiego General-Gubernatora hrabiego P. A. Szuwałowa, wypowiedzianą podczas obiadu z powodu otwarcia wystawy przemysłowej w Łodzi. Oto brzmienie tych słów powitalnych, skierowanych do organizatorów:

„Trudno, bardzo trudno wyliczyć wszystkie te wrażenia, jakich dzisiaj doznałem, po raz pierwszy zwiedziwszy wasze miasto; wrażenia te były jak nie można bardziej różnorodne i wogólności bardzo przyjemne. Słyszałem ze wszystkich stron, że Łódź nazywają rosyjskim Manchesterem; nie będę mówił o stopniu działalności przemysłowej tych dwóch centrów wytwórczości fabrycznej, tutejszego i angielskiego, lecz sądząc z tego, co dziś widziałem, uważam za konieczne zaznaczyć, że w Łodzi spotkałem przemysłowców, którzy związali swe interesy osobiste z interesami ludności kraju tutejszego, troszczących się o dobrobyt masy i czyniących szczodre ofiary na wykształcenie i inne potrzeby państwowe: budowa gmachu gimnazyum męzkiego, coroczne zasiłki dla szkoły rzemieślniczej, utrzymanie początkowych szkół miejskich i t. d., wszystko to bezwątpienia podnosi działalność przedstawicieli przemysłu łódzkiego. Wznoszę puhar za zdrowie fabrykantów tutejszych, jak również za pomyślność wszystkich obywateli tego miasta, którzy mi zgotowali dziś tak serdeczne przyjęcie."

PRASA ROSYJSKA.

Warsz. Dniewnik przytacza następujące słowa, które papież wyrzekł do korespondenta gazety *Now. Wremia* na posłuchaniu:

„Ja kategorycznie mówiłem i mówię wszystkim polakom, których widziałem i widzę: oddzielcie religię od polityki i porzućcie ostatnią. Losy historyi chciały, ażebyście przecięli swoje istnienie niepodległe i poddali się innej władzy. Władzy tej powinniście być posłuszni. Inaczej nie mogę patrzeć na wasz stosunek do Rosyi."

Korespondent dodaje, że papież obiecał mu przysyłać wszystkie swoje encykliki do redakcyi *Now. Wrem.*

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Według *Graždanina*, ministeryum spraw wewnętrznych wnosi do Rady państwa przedstawienie o zwolnienie żydów od opłaty koszykowej. Jednocześnie senat wyjaśnił, że wdowy po żydach, którzy otrzymali wykształcenie wyższe, mają prawo mieszkać wszędzie i nabywać nieruchomości.

— Pracownicy kantorowi „Warszawskiego Towarzystwa kopalń węgla" i „Warszawskiego Towarzystwa fabryk cukru" wystąpili do swej władzy z podaniem o uwolnienie ich od pracy w niedziele, z pozostawieniem tylko dyżurów kolejowych.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zajmuje się obecnie roztrząsaniem projektu ubezpieczania koni od kradzieży.

— Wydano rozporządzenie, ażeby od przyszłego roku na radców towarzystw kredytowych i handlowych wybierane były tylko osoby, znające gruntownie język rosyjski. (*Now. Wr.*).

— Baron Hirsch zwinął w Galicyi swoje biuro dobroczynności, w którem od r. 1888 rozdzielano corocznie po 144,000 zlr. podupadłym kupcom i rzemieślnikom. Podobno w przyszłości biuro Hirscha w Galicyi rozdawać będzie tylko pożyczki podupadłym przemysłowcom żydowskim.

— Raport komitetu pomocy dla pogorzelców w Nowym-Dworze ogłasza iż ogółem straciło mienie podczas pożaru 175 rodzin (640 osób), mianowicie: 16-tu prawosławnych, 64-ch ewangelików, 160-iu katolików i 400 żydów. Większa część pogorzelców poumieszczała się w ocalonych domach swych krewnych lub znajomych. Dla osób, które nie miały gdzie się podziać, komitet wyznaczył dość obszerny budynek, (w którym poprzednio był browar), mogący swobodnie pomieścić stu ludzi. Poszkodowanych z kategoryi ludności niestałej, nie posiadających istotnego zajęcia, w liczbie 30-tu wyślą do miejsc, gdzie są zapisani w księgach ludności.

Szkoły. Do Instytutu agronomiczno-leśnego w Nowej Aleksandryi i leśnego w Petersburgu postanowiono przyjmować przedewszystkiem kandydatów, którzy skończyli szkoły średnie rolnicze.

Mianowania. Pomocnikiem naczelnika kancelaryi do przyjmowania próśb, podawanych na Najwyższe Imię, został wice dyrektor ministeryum komunikacyi, Ar-[illegible]

— Profesor uniwersytetu warszawskiego, Potylicyn, został dyrektorem instytutu w Nowej Aleksandryi.

Kradzieże. Złodzieje doprowadzili do artyzmu technikę swego fachu. Przed paru dniami w Warszawie na Nalewkach złapano ich przy wierceniu ściany do magazynu z przedmiotami złotymi i srebrnymi, z sąsiedniego sklepu. Okazało się, że złodzieje byli zaopatrzeni w najróżnorodniejsze instrymenty i narzędzia, potrzebne do „cichej roboty" przy wierceniu dziur w ścianach murowanych lub rozbijaniu kas ogniotrwałych. Między innemi posiadali drągi żelazne, świdry, obcęgi, piły, bańki z olejem i latarnie, odpowiednio urządzone.

Wielkie odkrycie. Reporter *Kuryera warsz.* wykrył nieznane dotąd, sensacyjne zjawisko w świecie fizyologicznym. Oto donosząc o nagłej śmierci niemowlęcia, twierdzi, że „*zgon nieboszczyka* nastąpił w chwili karmienia piersią matczyną." Zatem *nieboszczyk* mógł jeszcze ssać i powtórnie umrzeć.

Dobroczynność. Rada miejska dobroczynności publicznej przyjęła z zastrzeżeniem praw osób trzecich następujące zapisy: Nuty Halbera w sumie rs. 500 na budowę szpitala starozakonnych w Warszawie, Konstantego Rudzkiego rs. 10,00 na rzecz domu sierot po robotnikach i Ludwika Szczygielskiego rs. 100 na warszawski dom schronienia starców i sierot starozakonnych na nagrody wychowańcom zakładu.

Zdrowie publiczne. Na kolei Nadwiślańskiej wszystkie pociągi pasażerskie zaopatrzono w apteczki podróżne, podzielone na trzy części 1) z niezbędnymi środkami, stosowanymi w razach nagłych zasłabnięć pasażerów, (eterem siarczanym, waleryaną, bańkami i t. p.); 2) środki antycholeryczne i 3) narzędzia chirurgiczne do opatrunku rannych. Nadkonduktorzy mają drukowane instrukcye. Apteczki takie umieszczono również na każdej stacyi.

— W Petersburgu otwarto Muzeum anatomiczno-chirurgiczne, ku uczczeniu pamięci Pirogowa.

— Według *Prawit. Wiest.*, w gub. wołyńskiej od 20 sierpnia do 2 września zachorowało na cholerę osób 7,827, zmarło 3,085.

Wystawy i zjazdy. We Florencyi odbył się w tych dniach kongres międzynarodowy lekarzy usznych. Dr. Teodor Helman z Warszawy miał dwa odczyty: „O ropieniu móżdżku" i „O statystyce w chorobach ucha."

— W Niższym Nowogrodzie podczas wystawy odbędzie się zjazd dentystyczny. Interesowani mogą się zwracać do przewodniczącego komitetu w tem mieście, dentysty A. Woltera.

— W Bordeaux odbył się drugi międzynarodowy zjazd dziennikarzy.

Zmarli. Ludwik Pasteur, w Paryżu, 30 września. Ur. 27 grudnia 1822 r. w Dôle, w departamencie Jura. Zawód nauczycielski zaczął w r. 1840 w Besançon, w 1843 był profesorem szkoły normalnej w Paryżu, w 1848 profesorem fizyki w liceum w Dijon, w 1849 profesorem chemii w Sztrasburgu, w 1854 kierownikiem fakultetu w Lille, od r. 1857 kierownikiem szkoły normalnej w Paryżu, wkrótce potem został profesorem chemii w Sorbonnie. Już w r. 1858 dał początek wielkiej epoce bakteryologii badaniem procesu

fermentacyi i drobnoustrojów. O jego zasługach i działalności na polu nauki pomówi osobno specyalista.

— Gustaw Ehrenberg, literat i poeta. Ur. 14 lutego 1818 r. w Warszawie. Kształcił się we wszechnicy Jagiellońskiej i uniwersytecie wrocławskim. Utwory jego z czasów uniwersyteckich wyszły w zbiorowem wydaniu p. t. „Dźwięki minionych lat.“ Przekładał Shakespeare'a, Dantego, pisał powieści, rozprawy i studya literackie. W Krakowie był profesorem historyi literatury powszechnej w wyższym zakładzie naukowym dla kobiet d-ra Baranieckiego.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 22 Сентября 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, ul. Mazowiecka, Nr. 8.